№ 43. Warszawa, dnia 22 (10) Października 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

NASZE BEZPIECZEŃSTWO ZDROWIA.

Odwróćmy dziś uwagę od spraw europejskich, od wielkich zagadek świata, od wszystkiego, co dostarcza treści wstępnym artykułom dzienników, i pomyślmy chwilę nad skromniejszą, ale nie mniej dla nas ważną kwestyą — zdrowia. Wiadomo już niemal powszechnie, że dziś, kiedy rozprawiamy o środkach, mających nas zabezpieczyć od cholery, panującej w.... Adenie, po Warszawie i kraju całym grasują, mimo wiedzy dozorów sanitarnych, choroby zaraźliwe, duszące tłumy ofiar. O tem strasznem spustoszeniu dowiadywaliśmy się o tyle tylko, o ile *Kuryery* w rubryce „wypadków" uczciły wzmianką pojawienie się gdzieś szkarlatyny i błonicy lub o ile strapieni rodzice donosili w nekrologach o pomnożeniu się przez śmierć ich dzieci „grona aniołków." Gdy nareszcie od lipca do września umarło w Warszawie 1,542 dzieci, a w tej liczbie 511 [1]) na szkarlatynę i 109 na ospę, członkowie „miejskiego *stałego* komitetu sanitarnego" spostrzegli, że coś się dzieje, co wymaga ich interwencyi. Jakoż po dwu miesiącach strasznej epidemii, czujne to ciało poleciło inspektorowi lekarskiemu szpitali warszawskich opracowanie *projektu*: jakie należy przedsięwziąć środki dla zmniejszenia wypadków chorób zaraźliwych (ospy, szkarlatyny i błonicy). Od tej dopiero chwili, t.j. od 24 września przestaliśmy zabezpieczać się od cholery panującej w Adenie a zaczęliśmy walczyć z zarazą miejscową. W tym celu projekt p. inspektora podaje rady następujące:

[1]) Cyfra ta wyraża jedno z silniejszych natężeń epidemii u nas. Cytowana w dziełach specyalnych szkarlatyna w Warszawie z r. 1840 zabrała przez pięć miesięcy 2559 dzieci, a zatem liczbę tylko dwakroć większą miesięcznie.

Oprócz lekarzy, właściciele i rządcy domów, kierujący ochronami i przełożeni szkół, oraz rodzice winni o każdym wypadku choroby zaraźliwej zawiadamiać jak najśpieszniej komitet sanitarny. Zawiadomienie takie ma być pisane na blankietach sprzedawanych po 1 kop. we wszystkich dystrybucyach i przesyłanych pod adresem komitetu sanitarnego pocztą, skąd służba policyjna kilka razy dziennie odbierać je będzie. Zawiadomienie takie winno nastąpić najpóźniej w ciągu trzech dni. W komitecie będą utworzone osobne książki dla każdej choroby zaraźliwej, gdzie zapisują się wypadki pojedyńcze i następnie tworzą statystyczne dane. Po otrzymaniu wiadomości o danym wypadku choroby, lekarz cyrkułowy lub jego pomocnik przekonywa się na miejscu, czy chory należycie jest odosobniony, a otaczający go dostatecznie zabezpieczeni. W razie potrzeby, chorego przenosi się do innego mieszkania lub do szpitala, nie inaczej wszakże tylko za jego zgodą, a gdy jest małoletni, za zgodą rodziców. Do chorego na zaraźliwą słabość nikomu zbliżać się niewolno, oprócz najbliższej rodziny, lekarzy, księży i notaryuszów. Nad drzwiami mieszkań, w których panuje choroba zaraźliwa, winna wisieć ostrzegająca dla publiczności karta z napisem: „Choroba zaraźliwa," jeżeli zaś w kilku mieszkaniach domu są tacy chorzy, wówczas wspomniona tablica umieszcza się na bramie od ulicy. Po ustaniu choroby, bez względu czy chory umarł czy też wyzdrowiał, komitet przez lekarza cyrkułowego przekonywa się o tem na miejscu, następnie zaś chemik robi ogólną dezinfekcyę osób, sprzętów i całego mieszkania. Ile razy komitet sanitarny uzna za potrzebne, tworzą się w danej dzielnicy miasta czasowe szpitale dla chorych na słabości zaraźliwe. Jeżeli w jakim domu pokaże się ospa, wszyscy mieszkańcy podlegają przymusowo powtórnemu szczepieniu lub też muszą wynieść się z domu; gdyby ospa przybrała znaczne rozmiary w całem mieście, wszyscy mieszkańcy Warszawy winni szczepić ospę na nowo, pod groźbą wydalenia z miasta.

Dalej projekt określa sposoby dezinfekcyi, mającej na celu niedopuszczenie przenoszenia zarazy. Najważniejszą rolę gra tu kwas karbolowy w postaci proszku i płynu. Komitet sanitarny w czasie trwania epidemii ogląda mieszkania, czy odpowiadają warunkom hygienicznym, i w razie dostrzeżenia złych warunków zawiadamia o tem p. ober-policmajstra dla przedsięwzięcia należytych środków. Prócz tego komitet urządza w kilku punktach miasta osobne miejsca dla dezinfekcyi sprzętów i ubrania, gdzie chemicy za niewielką opłatą będą dezinfekcyonować przyniesione przedmioty. Ponieważ obecnie panujące choroby najwięcej szerzą się między dziećmi, przeto projekt kładzie szczególny nacisk na szkoły, pensyonaty i ochrony. Jeśli uczeń zapadnie na chorobę zaraźliwą, a nawet ktoś z jego rodziny w mieszkaniu, nie może uczęszczać do szkoły, dopóki nie otrzyma świadectwa lekarskiego o zupełnem swojem czy też członka rodziny wyzdrowieniu. W pensyonatach winno być osobne, oddzielone od zdrowych pomieszczenie dla chorych, a w braku tego, jak również gdy epidemia przybiera znaczne rozmiary, komitet sanitarny mocen jest zamknąć na jakiś czas pensyonat. Każda ochrona, przynajmniej na czas epidemii winna mieć lekarza, a w braku tego, zarządzający winien bacznie czuwać, aby chore dzieci nie znajdowały się w ochronie.

Cały ten projekt byłby bardzo pięknym, gdyby nosił datę o kilka miesięcy wcześniejszą. Niedługo może choroby zaraźliwe już skończą swą rzeź, ta więc na nie wyprawa jest nieco spóźnioną. I dla tego, zamiast zajmować się owym niewczesnym ratunkiem, pomówmy słów kilka o jego czujnych organach.

Wyręcza nas pod tym względem jakiś wielce kompetentny hygienista w *Gazecie Warszawskiej* (nr. 231 i 2), którego artykuł należałoby wywiesić we wszystkich miejscach publicznych, a przyniósłby większą korzyść, niż wszystkie spóźnione rozporządzenia komitetu sanitarnego, bo ostrzegłby publiczność, że z tej strony nadzieją opieki ludzić się nie powinna.

Wspomniany autor, zakwestyonowawszy bardzo słusznie ścisłość statystyki policyjnej, oblicza, że nawet według jej danych, przyjmując 15% śmiertelności w szkarla-

tynie a 8% w ospie, wypadłoby dzieci chorych w Warszawie na te słabości przez dwa miesiące 4769, t. j. około *80 dziennie*. Otóż posłuchajmy jego wywodów z tego aktu.

„Mimo to potrzeba było dopiero kilku miesięcy czasu i wykazów śmiertelności z dwu miesięcy, ażeby zaczęto traktować *urzędownie* epidemię jako epidemię. Powtarza się tu stara historya o dyfteryi w Cesarstwie, gdzie w niektórych guberniach zjadliwa ta choroba po kilka lat trwała, ale sobie sankcyi władzy nie uzyskała. Dopiero raport urzędowy, zapisany cyframi, upoważnia do nazwania głośno rzeczy, wiadomej wszystkim, po imieniu. Ale na to potrzeba przecież czasu, potrzeba, żeby kilka tysięcy osób zachorowało i kilkaset umarło, bo skądże bez tego wziąć cyfry do raportu?

Czyż wobec tego faktu można przypuszczać, że władza sanitarna w naszem mieście stara się *codziennie* mieć obraz chorobności i śmiertelności zakaźnej *z dnia poprzedniego*, jak to przy odpowiedniej organizacyi koniecznie być powinno i co oczywiście pozwoliłoby, bez wyczekiwania na dwumiesięczne wykazy, wyrzec, że chorobność co do szkarlatyny tak a tak, co do ospy tyle a tyle się wzmogła, co pozwoliłoby i nakazało przedsiębranie natychmiast tych środków, które dziś przez władzę policyjną są proponowane.

Boć jeżeli środki te, o których pisma donosiły, są obecnie *gwałtownie* potrzebne, to zapytuję, co według zdania naszej władzy sanitarnej czyniło je *niepotrzebnymi* przed dwoma miesiącami? Za potrzebne ich wtedy oczywiście nie uważała, kiedy żadnego kroku w celu ich zastosowania nie przedsiębrała.

Otóż w dniu 24 września, a zatem trzy tygodnie temu, zwołani zostali na posiedzenie przez zwierzchność policyjną członkowie „miejskiego stałego komitetu sanitarnego.“ Jest to, jak wiadomo, kolegium, w którego skład, oprócz urzędników policyjnych i policyjno-lekarskich, wchodzi *dwóch obywateli*. Obecnie w rzeczonym komitecie zasiada także inspektor szpitali cywilnych.

Nie mając nic do zarzucenia przeciwko obecnemu osobistemu składowi owego komitetu, ośmielam się wyrazić przypuszczenie, że niezupełnie on odpowiada przepisom obowiązującego prawa o „komitetach ochrony zdrowia publicznego“ (T. XIII Kodeksu praw art. 836—842). Muszę też wyrazić ubolewanie, że ów komitet nie ma jako „stały“ terminów stałych zebrań, przynajmniej miesięcznych. Gdyby tak było i gdyby do składu jego należeli niezawsze jedni i ci sami i to tylko dwaj obywatele; gdyby udział w nim brali wolnopraktykujący lekarze, toby może kwalifikowanie rzeczywistych epidemij jako epidemij mniej czasu i pisaniny wymagało, następowałoby prędzej i oczywiście wcześniej wywoływałoby interwencyę skuteczną władzy. Za prawdziwie jednak skuteczną poczytywać bym mógł jedynie działalność takiego kolegium w rzeczach zdrowia publicznego, któreby miało charakter i skład, proponowany przez podkomitet obywatelski w r. 1880. Niestety! projekt owej „obywatelskiej rady sanitarnej“ przy magistracie z trzema lekarzami sanitarnymi, z technikiem i chemikiem, spotkała jak najnieprzychylniejsza opinia zwierzchności policyjnej z powodu uszczerbku, jakiby przez jego wykonanie ponieść jakoby musiała powaga władzy policyjnej w mieście.

Otóż jeżeli niema możności utworzenia ciała, któreby w myśl art. 839 Ustawy lekarskiej (Kodeksu Praw Państwa t. XIII), „w razie *pojawienia się* epidemicznych lub epizootycznych chorób, ...otrzymawszy wiadomość przez *któregokolwiek ze swoich członków i nie czekając na doniesienie ze strony policyi*, *niezwłocznie* przedsiębrało stosowne kroki w celu *poznania* ściśle *natury* choroby, w celu zapobieżenia szerzeniu się jej i w celu jej zniesienia,“ — ponieważ władza policyjna istnienia takiego komitetu nie dopuszcza — toby stanowczo pożyteczniejszem i do celu *prędzej* prowadzącem było, gdyby urzędowemu organowi policyjno-lekarskiemu bez wszelkich doradczych komitetów dać większą władzę i prawo inicyatywy, a nadto prawo rozporządzania jakimś funduszem na stosowanie nadzwyczajnych środków policyjno-lekarskich niezwłocznie. Wobec takiego żywiołu, jakim jest epidemia, wolałbym nieograniczoną władzę kompetentnej jednostki, aniżeli zupełne ograniczenie jej władzy w zakresie wykonawstwa policyjno-lekarskiego, za pomocą jeszcze bardziej ograniczonej władzy jakiegoś niby policyjnego i niby obywatelskiego komitetu.“

Pomijamy wielkiej uwagi godną tegoż autora krytykę pomysłów hygienicznych komitetu sanitarnego, którą on gorliwie przestudyować winien, poprzestajemy jedynie na wniosku, że Warszawa nie posiada instytucyi, czuwającej nad jej zdrowiem i że tylko własnej ostrożności lub miłosierdziu epidemii zawdzięczamy nasze i naszych dzieci życie.

A co powiedzieć o prowincyi?

Przy tem pytaniu nasuwa nam się charakterystyczna uwaga. Jeżeli w jakiejś wsi zdechnie na księgosusz jedna krowa, w tej chwili wieś ta zamknięta jest kordonem, a sąsiednie bydło zabezpieczone od zarazy. Ale gdy umrze gdzieś sto dzieci na szkarlatynę lub błonicę, niema władzy, któraby ostrzegła ludzi przed niebezpieczeństwem. To też nic dziwnego, że rodzice, chroniący swe dzieci przed zarazą, wpadają nieraz w jej ognisko. Piszący te słowa we własnem sercu nosi straszną pamiątkę tej niewiadomości. Gdyby przyjechał z wołem do miejsca nawiedzonego księgosuszem, powstrzymanoby go; ale ponieważ przyjechał z dzieckiem do wsi, nawiedzonej szkarlatyną, nikt go nie ostrzegł. Spytajcie wójtów gmin, pisarzów i t. d. jakie u nich panują choroby? Odpowiedzą wam, że przeszłego roku Kaśka długo chorowała po urodzeniu dziecka a Bartek umarł, bo go sosna przygniotła. Ach, doprawdy często trzeba zazdrościć szczęścia bydłu!... Gdyby na ludzi spadł księgosusz, z pewnością by ich niedługo wytrzebił.

GAMBETTA.

W chwili gdy przyszły władca Francyi ma wznieść się o stopień wyżej, zaszedł mu drogę i spojrzał bystro w oczy słynny pisarz wojenno-polityczny, szczególny znawca stosunków francuskich, major głównego sztabu Niemiec, Colmar v. der Goltz, który uwagi swoje nad tym mężem stanu ogłosił w *Deutsche Rundschau*. Obaj ci ludzie warci są, ażeby jednemu jeszcze raz w nowem świetle się przyjrzeć, a drugiego posłuchać, zwłaszcza że obaj, chociaż w nierównej mierze, zajęli na chwilę uwagę Europy.

Zaraz po wojnie francusko-pruskiej ukazała się książka p. t. *Lettres à un absent*, zawierająca barwnie skreślone szkice powieściowe. Autorem jej był Daudet. Śród tych szkiców jeden nosił nazwę *Les dictateurs*. Grono młodych, krzykliwych i ru-

---

[4])

Z mojego pamiętnika.

L. Börnego.

IX.

Soden, 16 maja.

W wrześniu 1819, pewnego posępnego dnia obrad związku niemieckiego we Frankfurcie, obudziłem się jakiś niezdrów. W zwodniczej nadziei odurzyłem się z kilku dobrymi towarzyszami, za wiele piłem przeklęcie przepieprzonej wolności i musiałem wszystko to oddać napowrót. Kto nie ma „katzenjameru“—ten nie zna karzącej potęgi bogów; jest to *skrucha żołądka*. Uczułem się strasznie przygnębiony. Wtedy postanowiłem opuścić to miejsce mojego smutku, udać się do Francyi, gdzie mądrzejsi i śmielsi, niż my obywatele, lepiej znają i bronią swych praw i gdzie łotry restauratorzy bezkarnie i niespostrzeżenie nie mogą im fałszować czerwonego wina.

Wydawałem w owym czasie pismo drukowane w Offenbachu, gdzie wyrabiają znakomite pierniki. Pismo to, dopóki było wolnem, było dobrem i licznych miało czytelników. Gdy wolnem być przestało, zamknąłem je.

W jednym z ostatnich numerów znajdował się artykuł, przysłany mi z północnych Niemiec. Nie przypominam już sobie dobrze treści jego, a numeru owego nie posiadam; to tylko pamiętam, że napisany był z talentem i mówił o środkach, jakichby użyć trzeba i można, aby panującym, wbrew woli otaczających dworaków, donosić prawdę, uwiadamiać ich o potrzebach i życzeniach narodu. Nakładca mój opowiadał mi, że pewien poseł sejmu związkowego kazał sobie przynieść kilkanaście egzemplarzy powyższego numeru, właśnie z owym artykułem. Mało mnie to obchodziło, zawołałem tylko — jak gdyby ów pan kichnął — na zdrowie!

Gdy przyszedłem do policyi i zażądałem pasportu do Paryża, odprawiono mię do dnia następnego. Przyszedłem następnego, odprawiono mię do jutra; i trzeci raz pod innym jakimś pozorem znowu mi go nie dano. Tę odmowę zestawiłem z mem czasopismem, które namiętna żądza wiedzy dyplomatów wzięła pod swój mikroskop i i zaniepokoiłem się. Rozumowałem w ten sposób: policya frankfurcka dopóty nie troszczy się o politykę, póki nie otrzyma polecenia od ministra lub ministeryum, a wtedy nie naśladuje sowizdrzała, który jako poczciwy chrześcianin, tyle tylko robi, ile mu kazano, lecz z obawy, by za mało nie zrobić, robi więcej niż potrzeba. Z nieopisaną trwogą spoglądała ona na 39 głów niemieckiego Cerbera. Zbawienna trwoga, przejmująca łotrów na widok dobrej policyi, stanowi materyał wojenny frankfurckiej, którą go posiada w dostatku. Samego strachu przed Austryą ma cały magazyn. Skoro Austrya wyda rozkaz, policya frankfurcka głuchnie, ślepnie, pada na ziemię i spełnia polecenia, wołając: Allah! Allah! niech będzie pochwalony Bóg i Mahomet, jego prorok!

Postanowiłem tedy bez pasportu ile można cicho, wykraść się z mego dobrego, wolnego miasta ojczystego. Tak też zrobiłem. Pasport nadesłano mi później; nigdy jednak nie mogłem się dowiedzieć przyczyny odmawiania mi go przez dni kilka. Nie przypuszczam wprawdzie, by zwłokę tę spowodowała jaka zachcianka dyplomacyi; jednak ówczesna moja trwożliwość dziś jeszcze wydaje mi się usprawiedliwioną i w danym razie tak samo bym postąpił. Przed rewolucyą rzekł pewien myślący

chliwych studentów obsiadło stół restauracyi w „Hôtel du Sénat.“ Po chwili wszedł do sali nowy towarzysz, nieco pochylony, jednooki, z twarzą *tout enflammé*. Obecni, ujrzawszy go, zawołali: „*Ah, ah, ah — voilà Gambetta.*“ On siada przy nich, rozpiera się na krześle, mówi głośno, uderza pięścią w stół, śmieje się, ściąga serwetę, wyrywa innym talerze, upaja się, nie pijąc, i mówi ciągle, nic nie powiedziawszy. I ktoby — pyta Daudet—w tym rozrzuconym burszu przeczuł wówczas (1850) przyszłego posła, ministra, dyktatora? Dopiero szklanne oko (według niego) rozjaśniło tę twarz cyklopa i nadało jej wyraz inteligencyi, chociaż nie uspokoiło epileptycznych ruchów.

Gdyby nawet ta karykatura była wierną, jakże do niej niepodobny dzisiejszy Gambetta! To już nawet nie apostoł odwetu, nie „orator balkonowy.“ W ogniu piorunów, spadających na jego ojczyznę, przepalił się, zahartował.

To też nawet Daudet do niego się nawrócił. Po długiem rozstaniu, w którem Gambetta mimo nieprzyjaźni, nie przestawał cenić wielkiego powieściopisarza, spotkali się oni w r. 1877 u księgarza A. Lemerre w Ville d'Avray. Gambetta pierwszy podał swemu nieprzyjacielowi rękę. Pod otwartem niebem, śród kwiatów i śpiewu ptasząt spędzili z sobą kilka godzin. Odtąd Daudet zaczął na „oratora balkonowego“ patrzeć inaczej. Nie widział już w nim „cyklopa.“ „Jeszcze nie otyły — pisze on — ale mężnej postaci, z przegiętemi nieco plecami, idąc i rozmawiając opierał się chętnie na ramieniu zaufanego przyjaciela. Mówił wiele przy każdej sposobności, twardym i silnym tonem południowym, który rozcina zdania i odbija słowa jak medale. Ale słuchał także, pytał, czytał, przyswajał sobie wszystko, gromadził masę faktów i pojęć, niezbędnych dla tego, kto zamierza przewodniczyć krajowi i czasom, tak powikłanym, jak nasze... Gambetta nie daje się porwać prądowi swych słów: chociaż wielki entuzyasta, widzi dokładnie punkt, w którym jego zapał zatrzymać się winien.“

Jeśli zagniewany Daudet tak go odmalował, to nic dziwnego, że inni kreślą jeszcze wspanialsze portrety słynnego dyktatora. W jednym z nich Gambetta posiada „potężne oblicze, wymodelowane niby maska starożytna, jedno oko tryskające życiem za dwa, szerokie i wysokie czoło, zdradzające pod obfitym zarostem obszerność i proporcyonalność czaszki, wymowne, skłonne do uśmiechu usta, w których naturalny potok słów, bez adwokackiego żargonu i akademickiej przesady, łączy grecką ironię z łacińską pełnością... Dziwna rzecz: Gambetta nie jest uroczystym. Nie wozi on z sobą kostiumu oratora, przeznaczonego na wielkie święta. Wymowa tkwi w nim ciągle, zawsze gotowa wytrysnąć.“

Zwróćmy się do Goltza.

Rozsuwa on pasmo publicznego życia Gambetty od najpierwszych chwil, bo od czasu, kiedy jeszcze panna Jenny Massabie była dyrektorką *maison civile et militaire* trybuna ludowego. Badanie to doprowadza go do dwu wniosków:

1) Gambetta nie posunie się nigdy do zamachu stanu, do gwałtu w zwykłem znaczeniu tego słowa. Zakreślił on sobie granice, po za które nie wyjdzie. Dopóki pozostanie wierny swoim zasadom, będzie z największą bezwzględnością i wrodzonym instynktem panowania używał wszelkich w danej chwili „dozwolonych“ środków; ale mądrze i napozór bez gniewu ustąpi zawsze, ile razy nie zdoła przez warunki się przebić. Dowiódł tego kilkakrotnie. To też słusznie twierdzi jedna z gazet londyńskich, że łączy on w sobie energię jakobina z umiarkowaniem angielskiego ministra.

2) Gambetta nie będzie prowadził polityki odwetu za wszelką cenę. W r. 1870 oświadczył się przeciw wojnie, potem jednak stał się ślepem narzędziem sił z katastrofy wynikłych. Wielkie przesilenia historyczne spełniają się bez udziału woli jednostek. Gdy summa przyczyn wewnętrznych, nadających nastrojowi ludów pewien kierunek, przygotuje wybuch, nie zapobiegnie mu żaden mąż stanu. Usposobienie też Gambetty nie może być ani bezwzględną rękojmią pokoju, ani jedyną przyczyną wojny odwetowej. Gdy naród do niej się zerwie, on go nie powstrzyma, ale polityki awanturniczej prowadzić nie będzie. Zbyt często ganił tę politykę za cesarstwa, wysławiał pogardzanie gwałtem jako cnotę, zwracał uwagę rządu na zewnątrz i za cel najbliższej przyszłości postawił utrwalenie rzeczypospolitej i udoskonalenie jej instytucyj; zbyt dobrze wreszcie zna pokojowe usposobienie swego kraju, ażeby go sam rzucał w wir niepewnej wojny.

Nieustannem wyznaniem jego politycznej wiary była rzeczpospolita demokratyczna. Przejrzawszy życie Gambetty, widzimy, że zmienił tylko sposób walki, nie zaś jej cele. Obecną republikę francuską nakreślił w głównych rysach swym wyborcom jeszcze za cesarstwa. Wszystko, co od tej chwili zrobił, jest ciągłą pracą polityczną, przerywaną na krótki czas podjęciem roli, w której najbardziej go rozumiemy, roli zapalonego obrońcy ojczyzny. Do wielkich celów posiada Gambetta pierwszy wielki przymiot — niezmordowaną siłę pracy. Niemniej skutecznie służyło mu gruntowne wykształcenie, o którem świadczą jego mowy. Mowy te są po części wynikiem pracowitości. Zadziwiającą jest zręczność, z jaką umie wyzyskiwać na swą korzyść zarzuty i przerywania. Zawdzięcza on jej wiele swych parlamentarnych zwycięstw, jest ona świadectwem przytomności i rzeczywistej wyniosłości umysłu. Jego ścisła logika umie rozciekawić słuchacza do swych wniosków. To też Gambettę zaliczyć można do największych mówców świata.

Inaczej rzecz się ma z treścią jego przemówień. Dotąd były one przeważnie wojownicze i opozycyjne. Pozytywnym ich ideałem jest stan polityczno-społeczny, odpowiadający ustrojowi amerykańskiemu. Zachodzi wszakże pytanie, czy ideał ten odpowiada wewnętrznym potrzebom Francyi. Dotąd musiał on naród czarować, bo cele, za które walczył, były ogólnie zrozumiałe i sympatyczne. Bonapartyzm oszukał Francyę i pod Sedanem shańbił; burbonizm rozśmiesza ją swym kopalnym królem, orleanizm nie posiada tradycyi. Takich przeciwników pokonać łatwo. Zwyciężał też ich Gambetta bądź siłą, bądź szczęściem. Najniebezpieczniejszego bowiem wroga usunęła mu z pola włócznia zulusów.

Do tryumfów pomogła mu także niewątpliwie giętkość. Gdy nie mógł zrobić całego kroku, robił pół. Porażki nie zniechęcały go. „Można uledz — rzekł raz — nieraz to jeszcze nas spotka; ale nazajutrz podejmiemy znowu sprawę, która nie była jeszcze dosyć dojrzałą.“ Jego elastyczność duchowa jest zdumiewającą; to też, jako taktyk polityczny i parlamentarny, stoi w pierwszym rzędzie.

Nareszcie cel został osiągnięty: rzeczpospolita utrwalona, siły narodu wskrzeszone. Teraz dla twórcy tego dzieła rozpoczyna się nowa epoka.

Jak wszyscy bohaterowie opozycyi, Gambetta żył dotąd kosztem swych przeciwników i w ich upadku zdobywał grunt dla siebie. Gdy walczył z Mac-Mahonem, Broglie, Fourtou, bonapartystami i legitymistami lub za amnestyę i wybory republikańskie — każdy pojmował jego cele. Na przyszłość jednak niema on zadań łatwo zrozumiałych. Wypowiedziawszy wojnę

---

francuz: „gdyby mię obwiniono, że ukradłem wielki dzwon z katedry Notre-Dame i przyczepiłem go sobie do łańcuszka u zegarka, przedewszystkiem uciekłbym natychmiast.“ Tak lichem było ówczesne kryminalne sądownictwo we Francyi. Kradzieży, rabunkowi, morderstwu nie grozi jeszcze wielkie niebezpieczeństwo w Niemczech; gdyby mię o podobną zbrodnię obwiniono, oczekiwałbym spokojnie śledztwa; lecz inaczej ma się rzecz z przestępstwami politycznemi. Gdyby rankiem, podczas śniadania przyszedł do mnie przyjaciel i ostrzegł: podejrzywają cię, że zamierzasz na giełdzie frankfurckiej zebrać 300 najdzielniejszych żydów i na ich czele najbliższego *Ultima* wyruszyć na Mannheim, zdobyć Palatynat reński, założyć tam republikę i w ten sposób zakończyć spór o kraj ten między Bawaryą a Badenem, nie traciłbym nawet czasu na włożenie butów, uciekałbym w pantoflach. Nie powiem, ażeby organa sądownicze i administracyjne były mniej przezorne i mniej sprawiedliwe, aniżeli angielskie i francuskie; lecz skoro rzecz idzie o tak zwaną zdradę stanu, tracą zmysły, nie zdają sobie sprawy z tego, co widzą, co słyszą, co czynią; mają jedynie *swego* boga na oku i stają się nieludzkiemi. Owłada niemi fałszywe lub przesadzone wyobrażenie o boskości, lecz zarazem o śmiertelności, o nietykalności, lecz zarazem i o drażliwości rządu. Przestępstwo polityczne jest dla nich kacerstwem, a wtedy szał religijny mąci ich zmysły. Im zaś sędzia jest uczciwszy, im ściślej wypełnia swe obowiązki, tem niebezpieczniejszym staje się zarówno dla niewinnych jak i winnych. Przypominam sobie, że przed kilkoma laty przed pewnym mężem stanu potępiłem postępowanie władz pruskich w czasie wichrzeń demagogicznych, skutkiem których niejeden niewinny — niewinny nawet w ścisłem znaczeniu urzędowem — przez wlokące się badania i długie więzienie tak był trwożony i dręczony, iż równało się to zasądzonej karze. Mąż ów z podziwienia godną naiwnością odrzekł: Prawda były to nieszczęśliwe wypadki, na które wszakże nie inaczej należy się zapatrywać, jak na dachówkę, która spadając z dachu rani przechodnia. Ależ do dyabła, rząd niemiecki nie powinien być żadnym dachem, a jeśli nim jest, to na to by nas chronił a nie gubił. Niech więc dachówki swe dobrze przymocowuje, ażeby pierwszy lepszy powiew zdarzeń, pierwsza burza namiętności nie strącała ich na głowy przechodzących obywateli. Smutna to jednak rzecz, jeśli bez bólu głowy nie można nawet przechodzić obok rządu.

Pewnego pięknego październikowego dnia przejeżdżałem most Sachsenhäuser, udając się ze Strassburga do Paryża. Radca ministeryum wojny Reichard w dwu językach zaleca młodemu człowiekowi, który z korzyścią chce podróżować, następujące wiadomości i przybory: 1) historyę naturalną. 2) matymatykę. 3) mechanikę. 4) geografię. 5) gospodarstwo. 6) języki. 7) rysunki. 8) czytelne i prędkie pismo. 9) pływanie. 10) niejakie wiadomości lekarskie. 11) sztuki piękne: tu na pierwszem miejscu dęte instrumenta, które można składać i wygodnie chować w kieszeni. Oprócz tego musi mieć podróżujący młodzieniec rozmaite spirituália, mianowicie: 1) butelkę octu „trzech złodziei.“ 2) butelkę wódki francuskiej. 3) flaszkę balsamu peruwiańskiego. 4) flaszeczkę soli amoniakalnej przeciw mdłościom. 5) flaszeczkę kropli Hofmana. Z wiadomości tych posiadałem nie wiele, płynów zaś lekarskich i chirurgicznych wcale nic; miałem tylko drugą koszulę, wyżej wzmiankowanego Reicharda i malutkie wydanie dynastyi cesarzów francuskich od Napoleona I, II, III do Napoleona L. Raz Napoleon bawiąc w Gdańsku, po całodziennej grze z niemca-

senatowi z jednej, a radykalizmowi z drugiej strony, zatrzymał się jnszcze w dawnej kolei. Przyjdzie czas, w którym trzeba będzie wynaleść nową. Gdyby trybun ludowy chciał poprzestać na „strzeżeniu prawnej władzy,“ na zachwalaniu demokracyi i rzeczypospolitej, niezawodnie przesycilby naród tą cnotą i wpływ utracił. Dla tego musi ująć w swe ręce władzę i — rozpocząć... najtrudniejsze zadanie życia.

Obecne stanowisko Gambetty podobne jest z wielu względów do położenia Napoleona III. Jak jemu udało się stworzyć i upopularyzować rzeczpospolitę, tak Napoleonowi cesarstwo. Napoleon upadł wtedy, gdy nie umiał zadowolnić narodu i zająć go dostatecznie na drodze pokojowej. Gdy Gambetta stanie na czele rządu, bądź jako prezydent ministeryum, bądź jako prezydent rzeczypospolitej, spotka się z tem samem zadaniem. Czy zdoła podtrzymać materyalny dobrobyt mas i zaprzątnąć uwagę niespokojnych żywiołów na zewnątrz? Na pierwsze z tych pytań daje nam niejaką odpowiedź mową w Tours, gdzie zapowiada reformy ekonomiczne w rodzaju bismarkowskich; na drugie — wyprawą tunetańską. Posiada ona daleko większe znaczenie polityczne, niż wojenne: tworzy bowiem początek rozległej działalności cywilizacyjnej francuzów w Afryce północnej.

Czy w tych przedsiewzięciach Gambetta zwycięży, czy upadnie — rozstrzygnąć trudno. Sądząc z jego zasług w r. 1870, któremi zaćmił działania Konwentu, należałoby przypuszać, że i w dziedzinie ekonomicznej równą okaże zdolność.

„Gdyby wszakże dziś nawet zamknąć się miała jego rola, jedno jest pewnem — historya musi o nim powiedzieć: był jednym z najlepszych śród swego narodu, wiernym, niezmordowanym obrońcą swej sprawy, dzielnym wodzem w walce stronnictw, zapalonym patryotą, szczerym przyjacielem ojczyzny i czystym charakterem. Jest on nawet potrosze idealistą: w sprawach bowiem wielkiej polityki widzi kwestye prawa, nie siły. Może to jego wielki, ale szlachetny błąd.“

Tak mniema o Gambecie Goltz.

Przeniknął go dobrze? O tem tylko sam Gambetta mógłby nas objaśnić. Przypuszczamy wszakże, że major niemiecki zbyt przecenił „afrykańską misyę“ francuzów i zbyt chciał nią w sobie stłumić przeczucie a w przyszłym kierowniku Francyi myśl odwetu za Sedan. *M—y.*

W LONDYNIE.

Październik.

Kiedyś, przed laty, wrażenia z podróży miały wielki intereres dla czytającej publiczności. Było ich mało i przedstawiały one mniej niż dzisiaj przechodnią wartość. Człowiek, puszczający się w dalszą niż granice kraju drogę, uchodził za kogoś niezwykłego, a utrudniona komunikacya dodawała mu uroku awanturnika. Nic zresztą dziwnego. Podróż do Anglii lub Francyi była prawdziwą wyprawą. Pocztowymi czy też własnymi końmi trzeba było *ciągnąć* tygodnie całe. Widoki zmieniały się powoli; ustawiczne stykanie się z obcymi ludźmi przy każdym przeprzęgu wpływało silnie na wyrobienie się sądu podróżnika o życiu i obyczajach zagranicy, a przygody i dziwaczne zdarzenia przy tem tłuczeniu się po bitych lub niebitych gościńcach utrzymywały umysł w ciągłej niejako gorączce lub w ciągłym choćby tylko podrażnieniu, które dawało myśli pewną barwność, żywość i niezwykły bieg po manowcach hypotez lub naprędce odkrytych prawd. Podróż była czemś zajmującem dla podróżującego, a spisane z niej wrażenia czemś niezwykłem dla czytającej publiczności.

Dziś wszystko się zmieniło. Podmuch cywilizacyi od Wschodu do Zachodu, od Północy do Południa zrównał i skosił odrębności pojedyńczych krajów. Osobnik rozpłynął się w masie, rozum i moralność przybrały jeden ton, strój narodowy ustąpił miejsca kosmopolitycznemu, a wrażenia powlokły się szarym, jednostajnym pokostem, dzięki wpływowi kolei, która w szybkości podrażnień stopiła ich trwałość. Maszyna parowa wyparła z życia indywidualizm, podstawiając na jego miejsce gotową i jednakową dla wszystkich formę. Wszyscy dziś żyją tak dalece na jeden model, że jeżeli wyłączymy wiejskie zacisza i chłopskie chałupy, cały ląd starej Europy nie jest w stanie dostarczyć po prostu materyału nawet do jakichkolwiek wrażeń, którychby nie można było odebrać zarówno w Petersburgu jak w Paryżu, zarówno w Sztokcholmie jak w Tryeście. Obyczaje, strój, zwyczaje i potrzeby życia, rozpowszechnione i ułatwione drogą kolei żelaznych, zatarły w miastach Europy różnice, które kiedyś stanowiły ich czar i wyrażały się przez odrębną dla każdego miasta sztukę. Podróżnik widział ulice, które do niego mówiły tajemniczym językiem zagadki, zatrzymywał się na placach przepełnionych tłumem, który mu się spowiadał ze swoich obyczajów i moralności, zaglądał do domów i salonów, które dlań były prawdziwą nowością, i w każdym niemal osobniku spotykał już jeżeli nie kogoś dziwnego, to przynajmniej niezwykłego. Dziś zarówno podróżnik nie jest czemś interesującem dla cudzoziemca, jak cudzoziemiec dla podróżnika. Wszędzie te same domy, którym policya naznacza wysokość i miejsce, te same ulice wycięte w linii prostej, te same ubiory, te same naśladowania jakichś dawnych pałaców a niezdarnie zastosowane do potrzeb muzeów, ta sama szarość kolorów, ten sam zewnętrzny obraz życia — i to tak dalece, że jeżeli podróżnik ma dosyć rostropności, aby się nie dziwić, że w obcych krajach małe nawet dzieci mówią innym niż on językiem, obce miasto nie może mu dostarczyć innych wrażeń nad te, jakie pierwej odebrał już w swojem. Dlatego to, aby pisać z obcych krajów, potrzeba być albo bardzo młodym, albo bardzo uczonym i sumiennym.

Pan Jan Finkelhaus może sobie pojechać do Algieru na kilka tygodni, ponieważ mu na to środki pozwalają, ale z zupełnem bezpieczeństwem nie jest w stanie dostarczyć poważniejszej publiczności czegoś, coby było godnem tytułu: *O życiu i obyczajach północno-wschodniej Afryki;* gdyż nietylko Stanley wzruszyłby ramionami na widok tej odwagi, ale nawet Tissot zawahałby się tak pospiesznie zostać etnologiem, zważywszy, że *życie i obyczaje* ludów takich jak je. p. Finkelhaus miał szczęście widzieć na raz w Anglii, Szwecyi i północno-wschodniej Afryce, wymagają dłuższego zastanowienia się i przyjrzenia, choćby tylko dla... literackiej przyzwoitości. Nie zapominajmy bowiem, że pomiędzy wrażeniami, jakie odbieramy na widok obcych miast i krajów, a sądem o życiu i obyczajach ludów jest ta sama przepaść, co pomiędzy pobieżnym szkicem artysty, który w przelocie zanotował ołówkiem kilka wydatniejszych linij z widzianego krajobrazu, a kartką z księgi etnologa, który z zaparciem się siebie zbadał lud w najdrobniejszych szczegółach jego życia, i o tem życiu dał czytającej publiczności możliwie prawdziwe wyobrażenie.

Dzisiejsze miasta z całym swoim koszarowym ustrojem nie zasługują na artystyczny opis, ponieważ zmysłom artysty nie dają dosyć materyału do wrażeń; dzisiej-

---

mi, gdy wieczorem siadł do gry ze swymi generałami, chwycił garść napoleondorów i zapytał: *N'est ce pas, Rapp, les Allemands aiment beaucoup ces petits Napoleons?*

— *Oui, Sire, plus que le grand*, odpowiedział Rapp. W kilka lat później przekonał się o tem cesarz. Niemcy powalili wielkiego Napoleona, małe natomiast, chociaż wszystkie wielki bić kazał, zatrzymali...

Aż do straży w Sachsenhäuser spoglądałem często ku Frankfurtowi; obawiałem się bowiem pogoni Graveliusa, asesora policyi i wysokiego Gatzenmayera. W trwodze mej niepokoiłem się zwłaszcza tem, że w podróżnej apteczce nie miałem soli amoniakalnej przeciw mdłościom. Nikt jednak nie jechał za mną; tylko mały powozik, a w nim zadowolony kolektor loteryi, u którego albo wyszedł główny los, albo też sam go wygrał — a teraz z żoną używa przejażdżki. Na moją prośbę pozwolili mi uprzejmie wsiąść do powozu, właściwie na kozioł, bo w powozie samym nie było miejsca na trzy osoby. Skoro minąłem już granice Frankfurtu, poczułem wielką radość. To, że niemcy, które przecież stanowią jedną całość, liczymy w ułamkach i zamiast powiedzieć *Austrya*, mówimy *Związek niemiecki* t. j. 39/39 [1]) — to zawsze nie mniej mnie gniewało, jak adwokata biednych Siebenkäsa, gdy żona do niego mówiła: wybiło cztery kwadranse na czwartą. W Langen przyszło mi na myśl, że takie słowne rozkawałkowanie kraju nie jest bez korzyści dla drobnych łotrów; kiedy bowiem władza nieraz co drugą milę potrzebuje upoważnienia, może złodziej, nim to napiszą i przepiszą, posunąć się daleko. Spotykaliśmy wielu posłańców, którzy szybko nas mijając, udzielali kolektorowi wiadomości o wygranych na loteryi darmstadzkiej. Dziwną mi się wydała ta fortuna na gościńcu — kolektor jednak był zadowolony. Zbliżając się do Darmstadtu, prosiłem usilnie, by mię wzięli do powozu, dopóki nie przejedziemy miasta. Zgodzili się. Ja wprawdzie jestem dość chudy, lecz gruby mój towarzysz w kieszeni palta dokuczał pięknej kolektorce. Poczciwi ludziska pewnie myśleli, że punkt honoru i wstyd nie dozwala mi jechać przez tę wielkoksiążęcą stolicę na koźle; nie przypuszczali, że chciałem się ukryć przed pewnym posłem, obok mieszkania którego musieliśmy przejeżdżać i który, o ile mi się zdawało, odcyfrowałby moje tajemne myśli. Przeczucie to w kilka miesięcy później sprawdziło się, jak to opowiem w dalszym ciągu mojemu ciekawemu dziennikowi. Wprawdzie historya to stara, a pamięć moja słaba, lecz w naszych czasach nie potrzeba wcale pamięci, aby nie zapomnieć głupich gwałtów.

W Mannheim, gdzie zastałem mój paszport, wziąłem pocztę do Strassburga. Jakże błogo mi się zrobiło, gdym dotarł do granicy francuskiej! Czułem się wolnym. W tym kraju, myślałem, bywa nieraz poczciwy człowiek napastowany, lecz jeśli nie jest głupcem lub tchórzem, może napastować swych napastników. I tu rzucają, ale nie obrzucają błotem, gdyż można je odrzucić. Gdy w Niemczech łają, musisz milczeć jak sługa — biją jak psa, a nie wolno nawet wyć jak psu! W bójce nie oto idzie, kto więcej odebrał razów, my czy nasz przeciwnik; nie o miejszy lub większy ból, nie o miejsce lub wielkie siniaki, lecz o zachowanie czci i możności obrony. Zresztą człowiek rozważny może zawsze tak się urządzić, że on pierwszy daje policzek.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

[1]) W roku 1830 (przyp. tłom.).

sze ludy jednak nie zasługują bynajmniej na pobieżny sąd literata, który zręcznie umie wiązać w pęczki luźne frazesy, ponieważ najdrobniejszy szczegół z ich życia i obyczajów przedstawia aż nadto bogaty materyał do wielkotomowych dumań nad cywilizacyą i to nietylko w rozpatrywaniu czem ona jest i czem będzie, ale także i w trudniejszej do rozwiązania kwestyi, jakie mianowicie warunki i wymagania przyrody ją wywołały i do pewnych, wyłącznych potrzeb urobiły.

Czasy kartek z podróży minęły już bezpowrotnie. Łatwość komunikacyi, jeżeli nie dla naiwnej rzeszy wiejskich panien, to przynajmniej dla jako tako obytej z literaturą publiczności, wyrugowała z dziennikarskich papierów tę plagę wykrzykników i zachwytów w przelocie, które nie dawały wyobrażenia ani o piękności przyrody w obcych krajach, ani o wspaniałości gmachów w obcych miastach, co było, jak wiadomo, podstawą owych kartek z podróży. O zakład, że niema jednego szlachcica, jednej panny, ba! nawet jednego literata w Polsce, któryby kładąc się spać pierwszego wieczoru w Paryżu nie zawołał głośno lub po cichu, że sobie Paryż inaczej wystawiał w myśli. To samo z innemi miastami. A czyja wina?... Kartek z podróży, owych kartek, pisanych z lekkomyślnością studentów, którzy w pierwszej na ulicy spotkanej szwaczce widzą ideał swych niedojrzałych a nierozważnie rozpalonych marzeń, i całej tej rzeszy czytelników, którzy bez żadnego probierza przelotne zachwyty, coś w rodzaju zapałów winem podchmielonego człowieka, biorą za wrażenia artysty, za coś jeżeli nie sumiennie przemyślanego, to przynajmniej szczerze i głęboko odczutego.

Wolno pannom z zaścianka brać się na lep zręcznie pisanych zachwytów, jeżeli ich sąd o zagranicy nie potrzebuje oprzeć się na czemś mocniejszem, niż zmyślone dyalogi Jana, sztuczne zachwyty Piotra, lub banalne uwagi Pawła. Przy dzisiejszych jednak środkach łatwego odbierania wrażeń bezpośrednio, na miejscu, nie wolno już, a przynajmniej nie powinnoby być już wolno Janom, Piotrom lub Pawłom zwietrzałym piaskiem frazesów, schwyconym przez okno wagonu w przejeździe, sypać w oczy publiczności, która w opisanej podróży chciałaby się doczytać albo szczerych wrażeń artysty, albo sumiennych sądów uczonego.

Rzecz prosta, że kilkodniowa lub kilkotygodniowa nawet przejażdżka po sławnych miastach zagranicy nie może dać materyału do uwag uczonego lub sądów podróżnika. Z całej więc wycieczki pozostają tylko mniej więcej przelotne wrażenia, o tyle ciekawe dla czytającej publiczności, o ile osobistość piszącego jest dla niej ciekawą, i o tyle pouczające, o ile piszący umiał je zgromadzić około jednej myśli, około jednego zapytania, które mu służyło za klucz do rozwiązania innych. Ale, jak powiedzieliśmy wyżej, wycieczka po najgłówniejszych nawet miastach stałego lądu dla artysty nie przedstawia żadnego interesu. Jednostajność życia na zewnątrz, jak strój zwłaszcza i architektura, wyłącza wszelką możliwość wrażeń, tak kosmopolityzm cywilizacyi maszynową robotą zatarł indywidualne rysy miast i tem samem zabił sztukę, która tylko przez indywiduum i indywidualizm żyć może.

Inaczej rzecz się ma z Londynem. Dobre wrażenia czy złe, przyjemne czy przykre, nastręczają się one jednak na każdym kroku i niejako zmuszają podróżnego do namysłu. Inny tu klimat, więc inne życie, inne obyczaje, inna sztuka. Oko mieszkańca stałego lądu co chwila zamyka się i otwiera w swym ciągle niespokojnym ruchu na widok tysiąca szczegółów, które je drażnią, a umysł pomimowoli szuka przyczyn, które stolicy Anglii nadały tak dziwnie odrębny charakter, jak gdyby ją od stałego lądu nie dwie godzin przejażdżki przez wąską cieśninę, ale cała podróż po oceanie dzieliła.

Te więc wrażenia, szczerze i o tyle, o ile one ugrupować się pozwalają około myśli o sztuce i zewnętrznym charakterze angielskiego życia, sformułować w kilku listach postanowiłem, zastrzegając z góry, że tego, co stanowi wielkość każdego narodu, to jest moralności i wiedzy nawet pobieżnie dotknąć nie mam zamiaru.

Antoni Sygietyński.

Z NIEMIEC.

Jarmark przedwyborczy. — Ściąganie do stronniczych kramów. — Ruch piór „dobrowolnie urzędowych.“ — Interwencya bogów. — Narzekania Mommsena. — Wróżba. — Przyszły sejm. — Literatura: *Angela* Spielhagena; *Życie greków i rzymian* F. Guhla i W. Konera; *Historya najnowszych czasów* O. Jägera; *Religie ucywilizowanych narodów europejskich* J. Lipperta; *Religia* Lilienfelda. — Nowe wydanie dzieła Brandesa. — Przekład *Pana Tadeusza*.—Konkurs towarzystwa Lessinga.

Wybory do sejmów zdają się być nieraz na to tylko, ażeby najgorsze i najskrytsze instynkty ludzkie obnażyły całą swą szpetność. Ile to wtedy wypełza wstrętnych zawiści, ile wyszczerza się zębów, ile wysuwa pazurów! Kłótnie, posądzenia, oszczerstwa, wymysły, zapamiętała licytacya sympatyi wyborców, gwałtowne wciąganie ich do rozmaitych kramów politycznych śród obelg rzucanych dla pokonania współzawodniczącego sąsiada — całe to piekiełko parlamentarne nie należy wcale do widoków ziemskiego raju. Posłowie posiadający mandat budzą szacunek, ale starający się o niego — odrazę. Prawie żaden z nich nie wejdzie do Izby, nie wykułakowawszy przed jej drzwiami swych przeciwników. Czytając odezwy rozmaitych partyj, wzywających do składek na cele agitacyjne, wytężających wszystkie siły dla napełnienia urny wyborczej swojemi gałkami, obiecujących za nie odurzonemu w tym jarmarku narodowi niezmierzone dobrodziejstwa — czułem dreszcz na samą myśl zdobywania tym sposobem poselskiego mandatu. Ośmieszono nasze dawne sejmiki; doprawdy nie inaczej rodzą się dzisiejsze sejmy, chociaż deputaci nie zastawiają stołów wołowemi udami a wyborcy nie obcinają sobie uszu. Zapanowała więc tylko może większa oszczędność.

Wszędzie targ przedwyborczy nie przedstawia scen budujących, ale w Niemczech, gdzie rozbrat między rządem a opozycyą uwydatnia się najostrzej, gdzie potężna wola głównego kierownika nawy państwowej posiada olbrzymie środki do przeprowadzania swych planów — walka stronnictw pieni się najwściekłej. Kilkadziesiąt milionów funduszu gadzinowego, pozostawionych do swobodnej dyspozycyi kanclerza niemieckiego, nadaje poruszającym się w kierunku jego skinień piórom dziennikarskim ruch nieznanej innym krajom zajadłości. Skrzypią też niezmordowanie, obrzygując co chwila ofiary swego najętego gniewu. Główną ich pastwą (tak z kolei wypadło) są stronnictwa liberalne, uczernione dziś już oskarżeniami odstępstwa, zdrady i nieuczciwości. Zapał tak daleko uniósł dzienniki „dobrowolnie urzędowe,“ że według wyrażenia jednej z gazet „straciły już zupełnie rozum i bezwstydniej działać nie mogą.“

W chwilach przedwyborczego zagrzania się przy „uszczęśliwianiu narodu“ nawet bogowie dla uratowania sprawy opuszczają Olimp i mięszają swe głosy do hałaśliwych wrzasków. Między innymi odezwał się także Mommsen, który uczuł tak wielki w swej ojczyźnie despotyzm, że w porównaniu z nim, monarchia absolutna wydaje mu się „łagodną instytucyą.“ Musiało brzemię bismarkowskich rządów ciężko przygnieść naród, jeśli czciciel rzymskich cezarów i apostoł idei cesarstwa niemieckiego tak boleśnie jęknął. Na zgromadzeniu postępowców w Charlotenburgu wezwał on żywioły liberalne do zjednoczenia się, gdyż inaczej zginą a z nimi wolność Niemiec. Ze szczególnym zapałem powstał przeciw bismarkowskiej idei uszczęśliwienia ludu. „Państwo — rzekł — które dotąd nie zdołało jeszcze spełnić swego obowiązku względem oświaty ludu i opieki nad biednymi, które nie czyni zadość uprawnionym wymaganiom ukształcenia ludowego a biednych zaledwie chroni od głodowej śmierci, wiecie, jak takie państwo dojść może do ubezpieczenia starców i inwalidów? Przez usunięcie budżetu wojennego. Kto chce tego — ja nie — może istotnie przewrócić świat do góry nogami i umożliwić ubezpieczenie wieku (robotników). Dziś jednak służy to tylko do wywracania ludzi, którzy nie otwierają oczu... Dotąd sądziłem, że w Niemczech są konserwatyści; lękam się, ażebym się nie omylił i ażeby ci, których uważamy za zachowawców, nie byli po prostu spekulantami zboża i gorzelnikami. Dzisiejsi zachowawcy zrzekli się wszelkiej samodzielności... Jeżeli w całem państwie jest tylko jeden sługa samodzielny, jeżeli wszyscy inni wyłączeni są z tego systematu, zginą Prusy, które mieliśmy, zginą Niemcy, które, jak sądziliśmy, mamy.“

Jedna z gazet, wysłuchawszy tych gorzkich żalów znakomitego historyka, pyta: co Mommsen powiedziałby o rzymianach, w ten sposób charakteryzujących swego Cezara (Bismarka) i obawiających się przeciw niemu wystąpić.“

Bądź co bądź, te i tym podobne budzenia energii narodowej, namiętne zabiegi żywiołów wolnomyślnych około zachowania, a raczej rozszerzania swego gruntu są niewątpliwą zapowiedzią, że w Niemczech wytworzy się z rozproszonych dotąd pierwiastków postępowych poważna grupa liberalna, z którą ks. Bismark będzie musiał się liczyć, jak musiał się policzyć z lekceważonem dawniej stronnictwem środka.

Chwila obecna jest przededniem walnej bitwy: w ogniu obrad przyszłego parlamentu mają się wypróbowywać ekonomiczne reformy ks. Bismarka. Zobaczymy, czy kanclerscy robotnicy dużo mu nażęli snopków na wyborczej niwie, i czy gospodarz, rozgniewany złym plonem, nie oczyści parlamentarnej stodoły i nie każe jej napełnić drugim zbiorem. Bo przecie wyraźnie zagroziły jego organy rozwiązaniem Izby, która mu nie okaże się posłuszną. „Prędzej wszakże czy później trzeba będzie poddać się stosunkom rzeczywistym“ — pociesza jeden z miesięczników. Słaba pociecha wobec tego, że owo później bywa bardzo długie.

Nie wieją w Niemczech nigdy tak mroźne wiatry, któreby zdołały zmrozić wszystkie liście ich olbrzymiej literatury. I dziś więc, chociaż wrzenie agitacyjne myśli i natchnieniu skrzydła podcina, pojawiają się ciągle znakomite prace. W dziedzinie powieści całą uwagę ogółu zajął Spielhagen swym świeżym (dwutomowym) utworem *Angela*. Autor ten, obok innych zasłużonych tytułów, cieszy się sławą głębokiego, powieściowego psychologa. Niewątpliwie rozwija on swoje charaktery drobiazgowo i systematycznie, odznacza w nich i rozsnuwa najdrobniejsze rysy, ale wobec czysto idealnej ich natury zapytać należy: jestże to psychologia realna, czy fantazyjna? Niewątpliwie druga. *Angela* posiada wszystkie jej cechy. W bohaterce tej autor przedstawia kobietę piękną, oderwaną od wszelkich pożądań zmysłowych a zakochaną w zmysłowym malarzu, który zrażony jej nienaturalną wyniosłością, porzuca ją i żeni się z inną. *Angela*, prze-

bywszy długą kolej życia w walce, kochając Arnolda nawet po przekonaniu się, że był tylko złudzeniem jej wyobraźni, topi się w Jeziorze Genewskiem. Śmierć ta jest wnioskiem Spielhagena, wyciągniętym z połączenia dwu pierwiastków: idealnego i realnego. *Angela*, pozbawiona wszelkiej cechy politycznej, należy do grupy *Plattlandu*, *Ultima*, *Quissiany* tegoż autora, formą swą wszakże jest zupełnie od nich odmienna. Mianowicie roztacza się w scenach żywych, w dramatycznym dyalogu, który czyni z niej coś pośredniego między dramatem i powieścią. Jestto w każdym razie jeden z najpiękniejszych utworów Spielhagena — pomimo odmiennego zdania policyi, która skonfiskowała kilka numerów berlińskiego *Tageblattu*, mieszczącego w swym odcinku *Angelę*.

Od czasu jak historya przestała być kroniką dworów, obrazy wewnętrznego życia narodów posiadają szczególną wagę. Pod tym względem niemcy, zwłaszcza w oświetlaniu świata klasycznego, złożyli nieocenione zasługi. Jeżeli zaś u nas klasyczne kształcenie młodzieży ma przynieść jakąś korzyść, to niechajże posługuje się takiemi dziełami, jak świeżo w piątem wydaniu rozpoczęte *Das Leben der Griechen und Römer* E. Guhla i W. Konera. Książka ta, przetłomaczona na kilka języków, zalecona przez ministeryum pruskie do bibliotek gimnazyalnych i na nagrody, bogato ozdobiona wizerunkami starożytnych zabytków sztuki, lepiej poznajamia z życiem greków i rzymian, niż suche albo bajdami ożywione podręczniki. Na jakąkolwiek drogę wejdzie systemat kształcenia młodzieży, zawsze świat starożytny żyć będzie w naszej cywilizacyi; z tego też względu znajomość z nim będzie zawsze pożądaną.

Mniej wszakże jeszcze zazdrościmy niemcom opracowań w starożytnej, niż w najnowszej historyi. Jak wiadomo, uczymy się jej tylko do rewolucyi francuskiej lub, w najszczęśliwszym wypadku, do Kongresu Wiedeńskiego. Co po za temi datami się stało, okryte jest w naszem wychowaniu daleko większą pomroką, niż czasy stworzenia świata i potopu. To też przydałaby nam się taka *Geschichte der neusten Zeit* O. Jägera, od Kongresu Wiedeńskiego do r. 1880, która już po niemiecku wyszła w drugiej edycyi. Rzecz dziwna, że żaden nakładca warszawski nie widzi korzyści społeczeństwa i swego zysku w wydaniu tej lub podobnej książki. Jäger jest pisarzem szerokiego umysłu, ujmującym w opowiadaniu, plastycznym w przedstawieniu rzeczy, posiada przeto warunki zyskania wielu czytelników.

Poważną daninę na ołtarzu historyi złożył Juliusz Lippert p. t. *Die Religionen der europäischen Culturvölker* (Berlin). Jest to nader gruntownie skreślony rodowód historyczny wszystkich wyznań europejskich, który, mimo pewnych ujemności w stanowisku autora, jest obrazem wielkiego naukowego znaczenia. Nawiasem zauważymy, że słynny Lilienfeld w dalszym ciągu swych *Gedanken über die Socialwissenschaft der Zukunft*, jako ich część piątą wydał: *Die Religion*, która jest zarysem „przyszłej teologii.“ Książce tej przypatrzymy się później szczegółowo.

Pierwszy tom dzieła Brandesa, dodawanego do *Prawdy*, ukazał się w nowem wydaniu. Jest to dowód jego niezwykłej żywotności. Literatura niemiecka jest zbyt płodna, ażeby potrzebowała przedruków; gdy więc ponawia edycyę jakiej książki, składa jej bardzo chlubne świadectwo.

Z datą przyszłego roku wszedł na półki księgarskie przekład *Pana Tadeusza*, dokonany dzielnem piórem A. Weissa.

Przezorność nie szkodzi. Jakkolwiek nie spodziewam się, ażeby śród szczuplutkiego gronka filozofów polskich znalazł się ktoś gotów, zapisuję tu konkurs z nagrodą 500 marek, wyznaczony przez berliński *Freidenker-Verein* „*Lessing*,“ za napisanie „zrozumiałego wykładu praw moralnych, który przeniknięty jednolitemi zasadami i oparty wyłącznie na niewątpliwych faktach wiedzy naturalnej, służyłby jako przewodnik działania w głównych stosunkach życia.“ Prace mogą być pisane w językach: niemieckim, angielskim, francuskim i włoskim. Pożądana jest niewielka ich objętość — 3 do 4 ark. druku. Termin 1 października 1882 r.; adres: Dr. Wilhelm Loewenthal, Berlin W, Hildenbrandtstrasse 7-a. Gdyby żądano etyki, opartej nie na „niewątpliwych faktach wiedzy przyrodniczej,“ niezawodnie otrzymalibyśmy pierwszą nagrodę. Nie posiadając warunków ubiegania się, bądźmy przynajmniej ciekawi rezultatu konkursu. Doprawdy czas, ażeby już świat posiadał taką etykę.

Liber.

Kronika rosyjska.

Obrady biegłych w sprawie pijaństwa. — Dotychczasowe uchwały. — Polemiczny rozbój. — Potknięcie się *Strany* i przyzwoitość przenośni *Kijewlanina*. — *Nowoje Wremia* czerniące p. Stasiulewicza. — Potrzeba nowego zgromadzenia biegłych. — Kierunek literatury rosyjskiej.— Broszura p. Wesołowskiego.

Jakkolwiek niektóre organy prasy rosyjskiej w powołanych do obrad nad pijaństwem i przesiedlaniem się włościan biegłych nie widzą właściwych, a przynajmniej przez nie pożądanych „przedstawicieli kraju,“ jakkolwiek nie wierzą one w możność należytego rozstrzygnięcia owych zagadnień bez udziału strony najbardziej interesowanej — chłopów, wszystkie jednakże śledzą, i słusznie, ze szczególną uwagą, bieg tej niezwykłej społecznej ekspertyzy. Ani potrzeby czytelników *Prawdy*, ani jej ramy nie pozwalają mi streszczać protokołów kilku posiedzeń, na których każdy coś powiedział, a nie każdy daremnych słów oszczędzał. Nie mogę wszakże pominąć ogólnych wniosków, które dotąd zdołały, nieraz bardzo mozolnie, zyskać sobie większość głosów.

Pierwsza zaraz sesya przedstawiła szczególny widok, przekonywający, jak dalece biegli nie porozumieli się z własnem zdaniem. Obrady otworzyło pytanie: czy dozwolić gromadom wiejskim, jako osobom prawnym, otwierać szynki? Przedewszystkiem pytaniu temu ks. Szczerbatow chciał nadać szerszą podstawę, rozpatrzeć je „ze stanowiska ogólnego;“ gdy jednakże ta propozycya zagroziła zebraniu zbyt rozległem polem rozpraw, sprowadzono ją do zakresu, przez komisyę oznaczonego. Rozpoczęły się spory, w których *większość* oświadczyła się przeciwko, składając dowody z własnych spostrzeżeń, że tego rodzaju urządzenia przyniosłyby nieobliczone szkody materyalne i moralne, że — jak rzekł kupiec Kostromski Morokin — „wytworzyłaby się jedna pijana respublika.“ Mimo tej opozycyi, gdy na drugiem posiedzeniu poddano pod ostateczne głosowanie kwestyę prawa gromady wiejskiej do otwierania szynków, znaczna większość (25 na 5) rozstrzygnęła ją twierdząco.

Na trzeciej sesyi wystąpiła z kolei sprawa ograniczenia liczby szynków. Ten wniosek komisyi ministeryalnej przyjęty został wszystkimi głosami, z wyjątkiem jednego — p. Daszkowa. Pan biegły powstał z całą energią przeciw zamachowi na swobodę handlu wódką. Nie umiem powiedzieć, czy p. Daszkow jest wyznawcą swobody w tym jedynie wypadku, czy też opozycya jego była wynikiem szerszej zasady wolności; pierwsze wszakże przypuszczenie wydaje się prawdopodobniejszem. Na tejże bowiem sesyi p. Daszkow w taki sposób wyraził się o ziemstwie, że pobudził hr. Bobryńskiego do założenia ogólnie poparcia tego protestu; nadto gdy później zażądano od niego bliższych wyjaśnień, odosobnione swoje stanowisko tłomaczył tem, że zakaz wywoła nadużycia, że zawsze znajdą się przebiegłe jednostki, które ominą prawo i potajemnie szynkować będą. Zaciętość sporów przeciągnęła ten przedmiot do następnego posiedzenia. Komisya ministeryalna proponuje dla zmniejszenia liczby szynków: określenie ich liczby i podwyższenie podatku patentowego. Otóż biegli pierwszy z tych środków przyjęli, drugi odrzucili. W dalszym ciągu obrad — po wybraniu podkomisyi, mającej wypracować szczegółowy referat — przyznano posiadaczom ziemi prawo zgody lub niezgody na użycie jej pod szynki.

Bardzo ożywione spory wywołała kwestya określenia dozwolonego typu szynków. Jedni chcieli pozostać przy tradycyi, drudzy wytworzyć zreformowane karczmy, inni zabronić sprzedaży wódki na zewnątrz. Zgromadzenie biegłych, odrzuciwszy wniosek rozgatunkowania handlu wódką, przyjęło drugi, dozwalający łączyć ją z innymi artykułami sprzedaży.

Taki jest dotąd (15 października) owoc narady biegłych. W powyższem sprawozdaniu pominęliśmy szereg zagadnień drugorzędnych, nietylko zpowodu braku miejsca, ale także dla tego, że zyskają one znaczenie wtedy dopiero, gdy wcielą się w przepisy prawne. Jaki zaś procent uchwał zgromadzenia biegłych zostanie uwzględniony przez rząd — dziś orzec trudno. Do tej chwili musimy się wstrzymać z rozbiorem ważniejszych zagadnień, które dziś posiadają wartość jedynie teoretyczną.

Jak gdyby ta i związane z nią sprawy nie dostarczały prasie rosyjskiej materyału do żucia, wyłamuje ona sobie zęby na osobistych kłótniach. Wzajemne zaczepki, napaści, potwarze, wymyślania, denuncyacye gazet petersburskich i moskiewskich tworzą tak dziką wrzawę, że doprawdy uczciwy jej słuchacz musi zaboleć nad sponiewieraniem godności publicznego słowa. My z całem naszem kramarzeniem się o teatry i dobrodziejstwa papieskie wyglądamy jak milczące karyatydy bazaru wobec krzykliwej brutalności jego przekupniów. Kogo zmęczy szmer plotek i przygryzków dziennikarstwa warszawskiego, niech nie szuka wytchnienia w rosyjskiem, bo go zaleją upusty polemicznego błota. Świeżo buchnęły niem dwukrotnie najobfitsze wytryski. Pismo petersburskie *Strana*, odznaczające się zwykle wielkim taktem i trzeźwością sądu, pomieściło nierostropny artykuł.

Obok zaprzeczenia urzędowego, posypały się niezliczone protesty od rozmaitych instytucyj, piętnujące surowo to posądzenie, tak że wreszcie sama *Strana* musiała się przyznać do „omyłki.“ Moralna kara pisma była tak wielką, że nawet rząd nie uważał za potrzebne obostrzać jej zwykłym środkiem administracyjnym. Nie mogły jednak poprzestać na niej dzienniki, mające ze *Straną* rachunki polemiczne. Rozpoczęło się łajanie, jak gdyby rozprawy biegłych nad szkodliwym wpływem szynków potrzebowały tej ilustracyi. Napaścią na p. Połońskiego, redaktora *Strany*, dowodził *Kijewlanin*. Cudzysłów uwolni nas od podejrzenia o przesadę. „Niejednemu zdarzyło się — pisze organ kijowski — widzieć sposoby rzezimieszka, którego zlapią w miejscu przestępstwa na gorącym uczynku. Zpoczątku unosi się ambicyą: jak śmią podejrzywać tak uczciwego człowieka; on na to nie pozwoli, zaskarży do sądu. Gdy mu pokażą skradziony woreczek, odpowiada, że go znalazł na ulicy i podniósł, ale nie ukradł i t. d. Scena ta przypomniała nam się przy ostatnim artykule p. Połońskiego, redaktora *Strany* (przeciwko *Kijewlanino-wi*).“ Niedość tego: mówiące tym językiem pismo powiada w końcu, że byłoby dla niego „upokarzającem“ odpowiadać na „wymysły“ przeciwnika. Zaiste, taki humor

może być tylko wrodzonym... *N. Wremia* bez obsłonek i domyślników, lecz prosto i szczerze oskarżyło p. Stasiulewicza redaktora *Poriadka* i *Wiestnika Ewropy*, że został przekupiony przez żydów, ażeby bronił ich sprawy. Autorem tego paszkwilu ma być niejaki Burenin, znany z podobnych oszczerstw. Redaktora i jego pachołka W. Spasowicz w imieniu Stasiulewicza pociągnął przed kratki sądowe. Ale jak dalece prasa petersburska oswoiła się z tego rodzaju potwarzami, dowodem fakt, że p. Stasiulewicz chciał poprzestać na grzecznem odwołaniu zarzutów. Może bliżej bieguna zimniejsza krew... Bądź co bądź, przydałoby się zwołanie biegłych dla uśmierzenia pijaństwa w prasie.

Wprowadziłbym w błąd czytelnika, gdybym tę wrzawę dziennikarskich szynków przedstawił jako panujący chór w literaturze rosyjskiej. Odzywają się w niej ciągle głosy bardzo poważne, zwłaszcza wywołane sprawami polityczno-społecznemi. Trudno wyobrazić sobie większą sprzeczność nad tę, jaka zachodzi między piśmiennictwem rosyjskiem a polskiem. Tamto, pominąwszy dziedzinę artystyczną, zaniedbawszy historyczną, z szczególnym zapałem uprawia społeczną i polityczną; nasze znowu, całe zatopione w sztuce i historyi, nie probuje nawet wysylabizować zagadnień społecznych. Gdy tam każdy dziennik, tygodnik, miesięcznik, każda powieść obładowana treścią społeczną, gdy sprawa włościańska jest nigdy nieschodzącym z porządku dziennego przedmiotem rozpraw, u nas zaledwie spotykamy luźne doniesienia o zatargach lub zgodzie chaty z dworem. Odpowiednio do tego nastroju objawia się literatura rosyjska. W filozofii spotykamy nowe przekłady myślicieli angielskich, zwłaszcza Baina i Spencera, w historyi maloważne podręczniki, ale w socyologii gruntowne rozprawy. Na pułki księgarskie weszła świeżo ciekawa książka, z której treścią poznajomimy później czytelników, a która wygrywa nowy hymn na starej strunie *Primirenia russkich z polakami* (Petersburg). Autorem jest p. F. A. Wesołowski, a winietą okładki dwie ściskające się ręce. Według p. W. dotychczasowy rachunek nienawiści dwu narodów jest niesprawiedliwy historycznie, gdyż podział Polski nie był pomysłem Rosyi, lecz Prus; co zaś do stanu obecnego, polacy, którzy w dziejach swoich rozwinęli wielką ideę unii ludów, powinni i dziś pozostać jej wierni w stosunku do rosyan. „Wieczny rozbrat z Francyą i z całą polityką cudzoziemską, bratni związek polityczny polaków z rosyanami i innymi słowianami — oto rada zdrowego rozsądku, oto punkt wyjścia kwestyi polskiej w Europie.“ Dla osiągnięcia tego celu, rosyanie powinni rzec: „Bracia polacy! Historya wasza zawiera wielkie błędy polityczne, ale bogata świetnymi faktami, przynoszącymi zaszczyt narodowi polskiemu i cywilizacyi polskiej. Wy wobec średniowiecznego, krwawego fanatyzmu germańskiego, ogłosiliście w r. 1572 swobodę sumienia; wy swoją piersią zasłanialiście cywilizacyą od barbarzyńskich napadów turków i tatarów; wy wreszcie przez wiele wieków staliście na straży słowiańszczyzny, na kresach Niemiec. Zapomnijmy o przeszłości, pogódźmy się! Z chwilą zgody my nie zwycięzcy, wy nie zwyciężeni, my nie władcy, wy nie niewolnicy, lecz bracia w Chrystusie i w człowieczeństwie. Podajmy sobie wzajem serdecznie ręce, jak równi równym, jak wolni wolnym, jak obywatele obywatelom! Pogódźmy się świadomie, jak narody równouprawnione we wspólnym nam państwowym i politycznym środku Rosyi, zjednoczmy w niej nasze usiłowania, nasze trudy, nasze dzieje, nasze wspólne losy; pozostaniemy z sobą zawsze nierozerwani, w chwilach doli i niedoli. Bracia polacy! rozwijajcie swobodnie waszą narodowość, ona nam wcale nie przeszkadza, jej postęp wyświadczy nam nawet wielką usługę: pozostali słowianie, widząc wasze zadowolenie, wasze szczęście, waszą kwitnącą narodowość, dążyć będą z wiarą i nadzieją pod chorągiew Rosyi; a może niedaleki ten czas, kiedy trzeba będzie wysoko podnieść nasz sztandar słowiański w Europie dla wzmocnienia naszych oddzielnych narodowości i samoobrony od ucisku wrogich słowiańszczyźnie sił wobec powiewających już chorągwi plemiennych — germańskiej i włoskiej. Wtedy pod tą słowiańską chorągwią staniemy obok, jako bracia i przyjaciele. Nasz braterski wieczny i nierozerwalny związek wskrzesi na podziw XIX wieku waszą historyczną ideę unii narodów. Zawrzyjmy uroczyście przed obliczem całej Europy unię polsko-rosyjską, która niech żyje długie lata!

Na dziś tyle.

Mam nadzieję, że zanim rosyanie powtórzą tę rotę przysięgi, my zdążymy bliżej zastanowić się nad osnową tej broszury.

W. T.

POZNAŃSKA NIEDOLA.

Gdy przed kilku tygodniami Kraszewski w jednem z pism warszawskich zwątpił o długiem życiu narodowości polskiej w Poznańskiem, policzono mu to za grzech publicystyczny. Był w tem jeden więcej dowód, że chorując na zapalenie mózgu, nie znosimy światła. . prawdy. Łudzić się daremnie, gdy każda wieść od braci naszych z Niemiec przynosi smutne nowiny. Ich liczbę pomnożył nowemi doniesieniami w *Bibliotece Warszawskiej* zasłużony w wykazywaniu niebezpieczeństwa p. L. Żychliński. Przejrzawszy wykazy urzędowe z r. 1880, obliczył nowe straty żywiołu polskiego w ziemi na korzyść niemców.

Suma gruntów w Księstwie wynosi 3,027,579 hektarów. Większe posiadłości obejmowały 1.626,954 h., z których 732,235 należało do polaków, a 894,700 do niemców. I ta wszakże przewyżka niemiecka pomnożyła się w roku bieżącym (do 20 lipca) o 13,738 h., które wyrwały się z rąk polskich. Mają więc dziś (nie licząc strat po 20 lipca) niemieccy więksi posiadacze 908,456 h., polscy zaś tylko 717,496 h. Najwięcej do tej zamiany przyczynili się sprzedaniem swych dóbr pp. W. Radziwiłł i Ig. Grabowski.

Tak się przedstawia własność większa. Co do mniejszej, włościańskiej, od czasu regulacyi chłopskiej, t. j. od r. 1823 ubyło gospodarstw sprzężajnych 8,679 (37,250 hektarów); było ich bowiem przed 58 laty 48,068, a jest obecnie 39,389 Za to gospodarstw bezsprzężajnych przybyło 10,510, obszar zaś zajmowanej przez nie ziemi wzrósł z 74,500 h. do 138,150. Do tego rachunku redakcya *Biblioteki Warszawskiej* dołącza dziwny przypisek: „Fakt ten (zmniejszenia się gospodarstw sprzężajnych) powinien być nauką dla wszystkich pseudo-postępowych apostołów parcelacyi u nas.“ A czy fakt stracenia 13,738 h. ziemi przez własność większą nie powinien być nauką dla apostołów tej własności u nas? Zaiste, dziwnie wybrana pora do zrobienia przygryzka. Odsunąwszy na bok wszelkie apostolstwa, zgodzimy się podobno bez wyjątku, że chłop traci ziemię przez niedbalstwo, a pan — przez zbytek. Księcia Radziwiłła lub p. Grabowskiego nie wygnały zapewnie z dóbr plagi egipskie. Los nas karał, prawda, ale myśmy go kuli.

Smutne świadectwo wystawia również p. Żychliński Poznańskiemu w statystyce szkolnej, wykazującej mały udział uczniów polskich. „Jest nas — powiada autor — 950,000, a uczniów, których szkołom wyższym dostarcza ludność polska, widzimy tylko 1,443, podczas gdy niemcy katolicy, których jest m. w. 50,000, dostarczyli 282, a niemcy ewangelicy, których jest m. w. 640,000, dostarczyli 2,742; a żydzi, których jest m. w. 64,000, dostarczyli 1,125.“ Pociesza się wprawdzie p. Ż., że „nasza ludność jest głównie rolniczą“ i że po za granicami Księstwa kształci się „kilkudziesięciu polaków“ — ale to pociecha niekojąca smutku, tem więcej, że każda dziedzina życia wykazuje naszą niższość. Nawet porównawszy wykaz oszczędności, stawia Poznańskie na ostatnim szczeblu. Podczas gdy n. p. Pomorze złożyło w 1880 roku 62,871,678 marek, Poznańskie tylko 11.866,000!

Wobec tego obrazu autor zapomniawszy, że zwątpił, probuje odzyskać nadzieję. „Wiemy — powiada — czego nam niedostaje, silimy się pracować, wzmacniać, a przecież *słabniemy* i zzapasów z życiem wychodzimy ze znużeniem, *bezpotrzebnej, silnej wiary w lepsze.*“ A potem: „Ruszać się dalej i silić będziemy i aby tylko nauka szła z tą ruchliwością w parze, a wiara w lepsze jej przyświecała...“ Kiedy właśnie, jak sam autor wyznaje, tej „wiary w lepsze“ nie ma, a owa „ruchliwość robi wrażenie raczej nerwowości podrażnionej, niż tego jędrnego życia, które płynie samorzutnie z wnętrza.“ Rozumiemy tę sprzeczność: jest to niezgoda marzenia z rzeczywistością.

Gorszem od choroby są lekarstwa, w których skuteczność patryoci poznańscy wierzą. Gdy ziemia z rąk się wyrywa, przemysł upada, oświata do należytego poziomu się nie wznosi, ludzie tej, co p. Żychliński „wiary w lepsze,“ wspominając o pielgrzymce do Rzymu, powiadają: „Potrzeba nam był bardzo takiego *posilenia duchowego*(!) wśród posuchy, jaka nas kurczy.“ Takiego „posilenia duchowego“ potrzeba Poznańskiemu?! Zaiste może ono stanowić tylko... ostatnie olejem świętym namaszczenie. Groźnym znakiem umysłowej agonii Poznańskiego jest naiwne wyznanie p. Żychlińskiego: „Póki trwała era zaciętej walki państwa przeciw kościołowi, *znachodziło się* zawsze jeszcze u nas dosyć energii i przed walką i wśród walki wyborczej. Dziś gdy „księża majowi“ mogą sprawować obowiązki kapłańskie — „obawiamy się, żeby wyborcom *nie zbrakło* dawniejszej energii i solidarności.“ Więc tylko proces księży z państwem zdolny był ożywić i skupić poznańczyków? A język, obyczaje, własna cywilizacya, narodowość — czy to wszystko niegodne zapału i miłości? Czy nad przepaścią kraju trzeba płakać z biskupem trewirskim, przygnębionym na myśl tego, co mu „przejść wypadnie“ z Bismarkiem? Tak, tego rodzaju patryoci mogą nawet zbawić Rzym, ale nie ocalą Poznania!... *D.*

JERZY BRANDES

SZKIC LITERACKI.

II.

N. F. S. Grundtvig (1783—1872) zjednał sobie umysły i serca całego prawie kraju, rozbudził zmysł historyczny i uczucie narodowe, już to pełnemi zapału kazaniami, już to poważną i wyczerpującą pracą o *Mitologii północnej*, aż nareszcie stał się wielkim narodowym prorokiem, objawiwszy Danii zasady nowej wiary. Wychodząc z założenia, iż nauka Chrystusa przez długi szereg wieków zmienioną i skażoną została i od pierwowzoru swego odbiegła, starał się wskrzesić chrystyanizm pierwotny i w Danii stworzyć nowy, narodowy kościół. Zebrane około reformatora grono wiernych utworzyło sektę *grundtvigianów*, rozszerzającą naukę mistrza po kraju, apostołując i głosząc prawdziwy chrystyanizm na zasadzie ścisłego związku

między kościołem pierwotnym a obecnym. Cała działalność Grundtviga i wyznawców jego skierowaną była ku ludowi, w którym, natchniony prorok widział zdrowe nasiona do odrodzenia się narodu, będącego w pojęciu jego wybranym ludem bożym. Chłop stał się teraz typem narodowym, ideałem czystości, siły i cnoty; dla niego budowano szkoły wyższe, gdzie na gruncie marzycielsko-religijnym wykładano mitologię i historyę, oraz rozbudzano uczucia patryotyczne, ale gdzie oświata, oprócz nieodłącznych swych dobrodziejstw, przynosiła z sobą rozmarzenie, fałszywy kierunek, a znajdując grunt nie przygotowany, zamieniała się na dążność do przeceniania swego narodowego stanowiska. Wpływ nowego kościoła wzrastał z rokiem każdym, rozlał się po sąsiedniej Szwecyi i Norwegii, wtargnął do polityki, zapanował nad umysłami, i doszedł do szczytu, gdy w 80-tą rocznicę swych urodzin Grundtvig został biskupem-prymasem Danii. Po jego śmierci liczni uczniowie prowadzą dalej rozpoczęte dzieło, a sekta grundtvigianów do dziś dnia liczy gorących wyznawców, wyłącznym kierunkiem religijnym i pietystyczną barwą cechując całe umysłowe życie Północy.

Na gruncie mistyczno-religijnym także, ale w innym zupełnie kierunku, rozwinął się Kierkegaard. I on także chciał być apostołem prawdziwego chrystyanizmu, nauki nowej, szlachetnej, z wszelkich naleciałości oczyszczonej, w obronie jej stając z zapałem i z ponurem bohaterstwem pierwszych męczenników. Usposobienie namiętne, niespokojne, wiara głęboka i mistyczna, ascetyzm gorący i rozmarzony — pasowały go już zawczasu na reformatora. Urobił też sobie, osobisty swój, w religijnej ekstazie zatopiony, niezwykłą subjektywnością nacechowany pogląd na stosunki społeczne. W arcydziele swojem *Albo-albo*, przedstawia nam wyniki swego filozoficznego zapatrywania się na życie ludzkie, które w jego pojęciu rozkłada się na trzy wyraźnie sfery. Pierwsza—estetyczna, w której mówi o szczęściu i nieszczęściu, użyciu i rozkoszach i tę odmalował świetnemi barwami jako filozofię użycia; następna sfera—etyczna, przedstawiająca się w drugiej części książki jako filozofia obowiązku, trzecia nakoniec dziedzina—religijna, cel wszystkich ludzkich marzeń i dążności, po za obrębem której nic niema prócz zepsucia, upadku i zrozpaczenia.

Bożyszczem Kierkegaarda jest namiętność, a wiara — najwyższą namiętnością. W obronie jej rzucił się pod koniec życia swego w rozpaczliwą walkę z nadużyciami kościoła, obrzędami i duchowieństwem, nie szczędząc księżom szczególnie dotkliwych i gryzącą ironią zaprawnych zarzutów. Złamany pracą, zmęczony walką, przechodzącą jego moralne i fizyczne siły, ścigany nienawiścią i obrzucony błotem, umarł w szpitalu w 42-gim roku życia.

Poetyczna strona jego talentu, smutek i pesymizm łączą go kilkoma rysami podobieństwa z włoskim poetą Leopardim, a polemiczno-religijna natura jego prac literackich przypomina cokolwiek Pascala i Lamenais'go. Trudno wogóle określić Kierkegaarda jako myśliciela i poetę, gdyż osobistość jego oryginalnością nacechowana, nie daje się łatwo ująć w karby. Brandes tak kończy swoje znakomite o nim studyum: „Niema w literaturze skali, niema narzędzia do zgłębienia umysłu ludzkiego, ani termometru, wykazującego stopień namiętności, ani miary do oznaczenia polotu ducha. Gdyby one istniały, przekonalibyśmy się, że niema pisarza w naszej literaturze, któryby głębiej nad Kierkegaarda zajrzał w serca ludzkie, goręcej czuł, potężniej myślał, albo wyższym lotem się wzbił w uwielbieniu swojem dla ideałów czystości i siły."

Jeżeli, jak widzimy, umysły najpotężniejsze, natury najbardziej szlachetne i poetyczne nurzały się w głębinach prawowierności, to cóż mamy powiedzieć o całej falandze uboższych duchem i słab szych talentem pisarzy, biorących przykład z góry, zatopionych w religijnej refleksyi, w której przytępiali już z natury swojej niezbyt bujnym polotem wznoszącą się wyobraźnię poetyczną? Co mówić o teologach z powołania, żarliwych sługach reakcyi, takich jak Mynster, Nielsen, dzielny skądinąd a nieraz i świeższymi prądami ożywiony, dawny minister biskup Monrad, i nareszcie obecny prymas duńskiego kościoła Martensen, jeden z najznakomitszych homiletyków naszego wieku, autor, *Dogmatyki* i *Etyki społecznej*? Ludzie ci, w obronie protestanckiej ortodoksyi, ogniem swojej wymowy palą wszelką objawiającą się myśl wolniejszą, i wszelki ruch umysłowy w kierunku pozytywnym.

Prasa cała, zasadom grundtvigianizmu poddana, zostaje w rękach konserwatystów i wpływem swoim stoi na straży prawomyślności urzędowej.

W polityce Danii ten sam widnieje kierunek prawie do ostatniej chwili; rządy są w rękach tak zwanych narodowych-liberałów, oddzielających kraj wysokim murem chińskim od reszty ucywilizowanej Europy. Są to ludzie z r. 1848, gorący patryoci, których oczy i serca zwracają się ku Francyi; których ideałem był Napoleon, a którzy z latami, po upadku drugiego cesarstwa, bez punktu oparcia zostawszy, rzucili się w objęcia reakcyi i fanatyzmu. Brandes nazywa ich złośliwie *ludźmi Sedanu* dla Danii, gdyż oni wywołali nieroztropnie wojnę z Niemcami i nieroztropnie ją prowadzili. Dzisiaj używają resztek swej potęgi, aby kraj zamknąć w ciasnej sferze niby patryotycznego a bezkrytycznego i zgubnego przeceniania swej wartości, aby nie przepuścić wdzierających się gwałtem promieni wolnej myśli i wiedzy, oddalić wpływy cywilizacyi niemieckiej, i sztucznie podtrzymywać na gruncie religijnym ubóstwienie dla siebie samych i pogardę dla wszystkiego, co obce Danii i jej kościołowi.

Taki stan rzeczy, hamujący postęp i z duchem czasu niezgodny, domaga się gruntownej reformy; do zwalczenia go potrzeba sił młodych, umysłów krytycznych i odważnych, a że Jerzy Brandes posiada w najwyższym stopniu to męztwo moralne, jemu przypadła zaszczytna misya rzucenia rękawicy przesądom, złej woli i innym trapiącym ojczyznę jego żywiołom.

Jadwiga Krausharowa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

O różnorodności pokładów geologicznych w Królestwie Polskiem (odbitka z Ateneum) skreślił Dr. J. Trejdosiewicz. Warszawa, str. 16.

Wszyscy mówimy, iż kraj swój kochamy
Lecz gdzież ta miłość, kiedy go nie znamy.

Dziesięcioletnie wycieczki naukowe w rozmaite okolice kraju dały autorowi ciekawy materyał geologiczny, którego różnorodność ogólnymi rysami kreśli w obecnej rozprawce. Wychodząc z wyrażonej w powyższym dwuwierszu zasady, że „grzechem jest być cudzoziemcem we własnym kraju," zaznajamia czytelnika przystępnie z pokładami ziemi Królestwa Polskiego. Wspomniawszy o daremnych poszukiwaniach w 1872 r. soli w gubernii kieleckiej, p. T. zaznacza swoje odkrycia jako delegowany uniwersytetu warszawskiego.

„Wszystkie powyższe fakty, kończy autor — rozszerzające zakres wiedzy o kraju własnym lub wskazujące na jego bogactwa kopalne, powinnyby zwracać szczególną uwagę naszej zamożnej inteligencyi, która jednakże wogóle bardzo mało dotychczas zdaje się o tych faktach wiedzieć, a przynajmniej pozwala się na tej drodze prześcigać cudzoziemcom. W ich ręce przechodzi w ten sposób kierunek najżywotniejszych interesów ekonomicznych krajowych. Nie mam zamiaru nawoływać współobywateli,ażeby swój obowiązek względem przyszłego rozwoju bogactwa krajowego lepiej pojmować chcieli i aby do walki z trudnemi okolicznościami raźniej się brali, — chciałem tylko zaznaczyć samo położenie rzeczy, z którego jak najgorszych dla nas skutków spodziewać się należy. A więc dokąd dążymy?" Dokąd? Jeśli pytanie to dotyczy „zamożnej inteligencyi" — do Paryża, Londynu lub... Rzymu.

Kandydatura Hozyusza na biskupstwo warmińskie w r. 1548 i 1549 przez Dr. Jerzego Mycielskiego. Kraków, str. 113.

Dziełko to wzbogaca dzieje nasze nowem źródłem i nowymi z niego pocześrpniętymi szczegółami. Przebieg kandydatury Hozyusza na bisk. warmińskie, pomimo wydanej korespondencyi tego dostojnika kościelnego i licznych monografij, nie był dość rozjaśniony. P. M. udało się w bibliotece hr. Tarnowskich (w Dzikowie) znaleść rękopis p. t. „Sprawy tyczące się biskupstwa warmińskiego po śmierci biskupa Jana Dantyszka w r. 1548 zaszłe" przez kanonika warmińskiego Eustachego v. Knobelsdorf spisane. Otóż z tego to rękopisu wydobył autor kilka promieni światła dla tej historycznej zagadki. Niezmiernie charakterystyczną i pouczającą jest w całości przytoczona rozmowa kanonika Knobelsdorfa, broniącego przywileju kapituły do wyboru krajowca (prusaka) z biskupem Maciejowskim, usiłującym przełamać ten opór separatystyczny i przez wprowadzenie polaka na biskupstwo warmińskie opanować tę strażnicę germańską. Walka zakończyła się zwycięstwem (chociaż pośmiertnem) Maciejowskiego, a tryumfowi temu autor przypisuje wielkie znaczenie w dziejach Polski.

O znaczeniu filozofii prawa i o metodzie jej wykładu przez Dr. E. Krzymuskiego, (odbitka z *Niwy*). Warszawa, str 12.

Jestto prelekcya habilitacyjna, którą autor rozpoczął swe wykłady filozofii prawa w Uniwersytecie Jagielońskim. Sądząc z tej próbki, należałoby powiedzieć, że wszechnica krakowska nie zrobiła świetnego nabytku, gdyby p. K. nie pasował właśnie do jej profesorskiego garnituru. Według niego, kodeksy, księgi ustaw nie obejmują nam idei prawa. Idea ta i „odpowiadająca jej substancya" jest naszą wiedzą intuicyjną, poprzedzającą wszelkie badanie. Celem też filozofii prawa „nie może być poznanie ściśle naukowe samej idei najwyższej sprawiedliwości, lecz tylko wykazanie, że *znana nam już intuicyjnie* treść owej idei znajduje swoje uzasadnienie nietylko w bezwiednym instynkcie człowieka, ale także w rozumnych podstawach jego natury, wśród rozumnych potrzeb i rozumnych dążeń ludzkości." Dla osiągnięcia tego celu posługuje się ona metodą indukcyjną, dla „rozjaśnienia zaś ścieżek postępowania prawnego" — dedukcyjną.

Nie rozumiemy doprawdy, po co p. K. będzie fatygował obie te metody i po co uniwersytet krakowski otworzył osobną katedrę filozofii prawa, jeżeli jego ideę studenci znają już „intuicyjnie" przed wstąpieniem na katedrę p. profesora. Bo skoro, jak on nas zapewnia, ta szczególna intuicya istnieje w nas niewątpliwie, musi ona pewnie posiadać swoje uzasadnienie w naszym ustroju moralnym — a więc czyni zbyteczną indukcyę, i sama rozświeca ścieżki postępowania — co znowu usuwa potrzebę dedukcyi. Chyba więc katedrze filozofii prawa w Krakowie przezna-

czono określić ową tajemniczą „substancyę idei sprawiedliwości,“ do poznania której sama intuicya nie wystarczy.

P. K. chce być w swej filozofii jasnym, ale zamiast rozświecać istotne zagadki naukowe, objaśnia swoje własne wyrazy aż do pedantyzmu. W wykładzie powtarzają się ciągle takie zdania: „powiedziałem: uczynić przedmiotem badania osobnego, nie zaś — oderwać od filozofii;“ lub: „ma ona przedewszystkiem — a zważcie panowie dobrze, iż mówię *przedewszystkiem*, nie zaś *jedynie*;“ lub: „gdy nareszcie, a mówię *nareszcie* dla tego, że i t. d.“ Pomimo, że p. K. mówił *przedewszystkiem*, nie zaś *jedynie* i pomimo wytłomaczenia, dlaczego rzekł *nareszcie* — nareszcie nic naukowego o filozofii prawa nie powiedział.

TEATR.

Sąsiedzi, komedya w 4-ch aktach Michała Bałuckiego.

Znana to oddawna prawda, że niektóre zwłaszcza warstwy społeczeństwa naszego lubią, aby je głaskano w literaturze, aby satyra u stóp ich składała swoją broń kolącą. Obłoczne dymy chwalby, usypiające wonią jej kadzideł, fałszywe idealizowanie wad kastowych—są zjawiskami dość pospolitemi w ruchu piśmiennictwa naszego i na tej drodze najłatwiej zyskać było sobie do niedawnych jeszcze czasów tanią popularność. Wobec tego, do bardzo pożądanych objawów w naszym umysłowym i artystycznym ruchu należy nowa komedya Bałuckiego „Sasiedzi“, będąca ostrą satyrą pewnych wad galicyjskiej szlachty, opartą na dosadnie schwyconych rysach realnych. W małym partykularzu szlacheckim autor okazał ciekawą krętaninę podczas bezpośrednich wyborów do Rady Państwa. Chwilowa fantazya jednego z krzykaczów zaściankowych popiera na godność kandydata poczciwego Radowskiego, który jako wcielenie sąsiedzkiej serdeczności zjednał sobie miłość powszechną nietylko dobrem sercem, ale dbałością o gardło i żołądek swych sąsiadów. Poczciwemu szlachcicowi zawraca się w głowie, bierze poważnie swą kandydaturę, tembardziej że przy kieliszeczku całe grono sąsiedzkie oświadczyło się za nim—tą szlachecką „krwią z krwi, kością z kości.“ Ale na chwilę karta się odwraca. Jeden umizg hrabiego wystarcza, aby całą tę kompanijkę pociągnąć na stronę stańczykowskiego kandydata. W satyrycznym kontraście autor zastawia tu bibkę w dworku szlacheckim, pełną serdecznego animuszu, przeplataną wykrzykami przeciw arystokracyi i na cześć szlacheckiej równości, a potem śniadanko przedwyborcze u hrabiego, któremu pochlebiają i dworują „równi wojewodom“, a na ich czele Gębaliński, mówca o tubalnym głosie i grenadyerskich rysach. W tych scenach, pisanych z wielką goryczą, ale bez zbytniej pessymistycznej przesady, autor skreślił jaskrawo ciasnotę pojęć, lekkomyślność i prywatę ludzi, którzy przystępując do obioru przedstawiciela kraju, widzą tylko małe ambicyjki, drobne słabostki i zamiast samodzielności przekonań, okazują tuzinkową służalczość. W akcie trzecim widzimy tu z wielką prawdą skreślony obraz komedyi przedwyborczej, w której pan hrabia kupuje popularność za tanie liczmany, a po wyjeździe braci szlachty każe pokoje przewietrzać i wody sobie podać do umycia rąk, zabrudzonych od serdecznych uścisków. W akcie ostatnim autor przerywa satyrę społeczną, kreśląc bardzo wzruszającą scenę zawodu i rozczarowania poczciwego Radowskiego, który na swoje imieniny napróżno czeka sąsiadów z zastawionymi stołami: wszyscy polecieli do hrabiego, chociaż ten wezwany na inne miejsce walki wyborczej, bardzo niegrzecznie podczas obiadu ich porzucił. Tymczasem poczciwy Radowski leczy się w sposób bardzo nieprzyjemny z politycznej ambicyi, znajdując tę pociechę, że w ciężkiej chwili niosą mu pomoc ludzie, którzy nie pochlebiali jego słabościom.

Jak widzimy z treści, komedya Bałuckiego należy do utworów, mających praktyczne znaczenie w stosunkach czasowych i miejscowych. Zamiłowanie do pijatyk i śniadanek, a ciasnota umysłowa, zaśniedziałość starych przywar szlachty obnaża on całkowicie, a kontrast społeczny byłby jeszcze pełniejszy, gdyby autor odznaczył wybitniej sprzeczność pomiędzy moralnym i umysłowym stanem gromadki sąsiadów a ich obowiązkami w stosunku do społeczeństwa. Pod względem artystyczno-literackim, komedya Bałuckiego znamionuje się przedewszystkiem dobrym rysunkiem ujemnych postaci, zręcznem ich użyciem w scenicznym ruchu. Prawda, że charakterystyka ich jest często zbyt wyraźnie podrobiona dla założenia autora; prawda, że jego zamiary akcentowane są zbyt silnie, jednakże każdy rys zdradza tu żywą i płodną obserwacyę. Wszystkie te postacie żyją, posiadają pewną wypukłość typową, rozjaśnioną tu i owdzie błyskami komizmu. Z dodatnich figur sztuki wyróżnia się bardzo pięknie, szczerze, a nawet w niektórych szczegółach subtelnie skreślony Radowski, który pomimo swej słabości i ambicyi politycznej ujmuje szlachetną serdecznością i dobrocią. Postać ta łagodzi pessymizm widoczny w kreśleniu całej sąsiedzkiej gromadki, a w ostatnim akcie urasta nawet do pewnej demokratycznej godności. Oprócz tego autor narysował kilka dobrych figur ubocznych, epizodycznych, oraz szablonową parę kochanków, których romans przyczepiony został tylko do scen satyrycznych. Panienka jest miłym podlotkiem, który szczebiocze dość ładnie i karmi drób domowy, a kochanek poważny, od stóp do głowy opięty w pancerz powagi, należy do modnego obecnie gatunku kochanków inteligentnych a praktycznych, jest naturalnie inżenierem i nosi się z myślami szerokich przedsięwzięć przemysłowych. Autor użył go w sposób trochę opatrznościowy i kazał mu nieść ratunek w krytycznej chwili zaskoczonemu przez sekwestratora szlachcicowi. Ta niespodziana pomoc i cały romans, plączący się w drugoplanowych scenach sztuki, są daniną, spłaconą przez autora starym receptowym pojęciom o budowie komedyi, które każą wynagradzać cnotę, a kochankom ukazywać w dali perspektywę małżeńską. Sam jednak pomysł aktu piątego jest piękny, a pod względem scenicznym wyzyskany z efektem. W całości sztuki talent Bałuckiego, jakkolwiek nie wzrósł do pierwszorzędnych wyżyn artyzmu, wykazał swą żywotną i twórczą siłę. Nie jest to ani bawidełko sceniczne, ani pogodny a przedmiotowy obraz, wykonany z flamandzkim spokojem, ale twardo, śmiało rzucony szkic satyryczny, z charakterem bieżącym, który w danej chwili odpowiada doskonale swemu założeniu.

Gra artystów w ogóle stała na wysokości intencyi autora a nawet czasem je przerastała. Stosuje się to szczególniej do Żółkowskiego, który w roli Radowskiego stworzył jedno ze swych najpiękniejszych arcydzieł. Z całego zastępu innych wykonawców wyróżnili się wybitniej: pani Borkowska i panna Czaki, pp. Ostrowski, Leszczyński, który nadał swym postaciom właściwy ton i wypukłość.

S. K.

LIBERUM VETO.

Wiadomość o zarobku Jeża. — Smutna prawda po za wesołą nowiną. — Czem Jeż dla nas i kogo w nim tracimy. — Obowiązek naprawienia krzywdy. — Pp. Barcewicz, Wieniawski, Conrad i tramwaje. — Uciszona opozycya i pobożność p. Rejnera. — Filip z *Nowosti* w potrzasku *Kuryera Warszawskiego*. — Grób „Śmiałego.“—Dziwna pretensya. — Ofiara hr. Potockiej. — Mapa hydrograficzna p. Kopernickiego. -- Wybór dziekanów.

Z wielkiem uniesieniem pisma nasze doniosły, że wydawca francuski nabył od Jeża za wysoką sumę przekład kilku powieści już popolsku wydanych i zamówił nową. Życzę temu zacnemu i wielkiemu pisarzowi, jak nikomu może, ażeby wiadomość ta była prawdziwą; niemniej podziwiać muszę ów roskoszny spokój, z jakim ją ogłoszono. Ogół bowiem po za wesołą nowiną powinien dojrzeć następującą, smutną prawdę. Może skutkiem swej umiarkowanej szczerej wolnomyślności a w każdym razie niezależnie od krytycznych zachwytów i przyznawania w prospektach pism pracom Jeża godności arcydzieł, wydawcy opłacali je skąpiej, niż mostkowe i pożarowe doniesienia zwykłego reportera. Trudno uwierzyć, ile ten znakomity pisarz brał za swoje najgłośniejsze utwory. Zlicytowany *in minus*, otoczony liczną rodziną, musiał niedostatki dochodów literackich dopełniać innymi zarobkami. Utrzymywał pensyonat, dawał lekcye, przyjmował obowiązki korespondenta do pism zagranicznych, aż nareszcie, gdy to wszystko nie wystarczało lub zawiodło, wszedł w stosunki z nakładcą paryskim, któremu zaofiarował swą pracę. Dziś, o ile mi wiadomo, przenosi się z Genewy do Paryża i — co gorsza — z literatury polskiej do francuskiej. Poznawszy tajemnicę wesołej nowiny o hojności nakładcy paryskiego względem Jeża, czy za przykładem pism warszawskich klaśniemy w ręce? Czy to jest tak bardzo pocieszającem, że nie zapewniliśmy dostatecznych środków materyalnych autorowi, który jest dumą naszego piśmiennictwa, i że go, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w znacznej części tracimy? Kto ma zbywający humor, niech się raduje, ja tej wesołości nie podzielę. Jeż był zawsze potężną i odżywczą siłą umysłowości naszej, którą łatwo zaćmić doraźnymi tryumfami wielu cymbalistów prawomyślności, ale której ubytek w późniejszym rachunku dotkliwie się objawi. Tyle już widziałem publicznych nagród daleko mniej zasłużonej pracy, że nie pojmuję, jak na drodze takiego uznania mógł być pominięty człowiek, któremu zawdzięczamy *Krwawe dzieje, Dahijszczyznę, Uskoki* — długi szereg utworów pierwszorzędnej wartości. Nie chcę tu przeczyć, że Kraszewski hojniej wzbogacił literaturę naszą; jeśli wszakże społeczeństwo spłaciło mu swój dług sowicie, chociaż pomocy nie potrzebował, to daleko silniej odczuć winno ten obowiązek względem Jeża, który był ciągle materyalnie krzywdzonym i który ma prawo wymagać na starość ubezpieczonego bytu. Są pisma, są wydawcy, którzy z jego pracy osiągnęli znaczne zyski; ci powinni ująć w swe ręce sprawę spóźnionego wynagrodzenia Jeża i zatrzymania w literaturze ojczystej.

Tak śmiało mówię, jak gdyby echa słów moich nie zagłuszała otrębywana przez wszystkie dzienniki wiadomość, że ilustracya kopenhagska zamieściła wizerunek p. Barcewicza a Bruksella ugaszczała w swych murach p. Józefa Wieniawskiego. Dla takich wielkich wypadków nigdy nam uwagi nie zbraknie. Dopóki p. Sarnecki był jeszcze niespracowanym redaktorem a p. Conrad posiadał własny zakład fotograficzny, bałem się zajrzeć do *Echa*, ażeby nie spotkać codziennie głoszonych zasług p. Conrada w układzie póz i „prześlicznem“

zdejmowaniu fotogramów przeróżnych facetów i facetek; a jednak ta samo pismo, jeśli się nie mylę, przez cały czas swego istnienia ani raz nie wspomniało o Jeżu. Ponieważ p. Conrad wszedł do zakładu Mieczkowskiego, a pp. Barcewicz i Wieniawski niedługo powrócą z wycieczek artystycznych, może więc prasa nasza przypomni sobie znakomitego pisarza, jeśli jej uwagi nie pochłoną... tramwaye — przepraszam p. K. Prószyńskiego — *kolejowce*, tak bowiem radzi on nazywać te środki przenoszenia się (komunikacyi). Nawiasem dodam, że jeśli „*w pierwszym rzędzie* dziennikarze mają stać na straży czystości mowy,“ nie powinni *in der ersten Reihe* używać wyrażeń niemieckich i zbyt pohopnie tworzyć swojskich, ale cudacznych. Ciekawy jestem, jakby p. Prószyński radził spolszczyć: *fotografię, telegraf, fizykę*, i t. p. Wróćmy jednak do tramwayów. Przez pewien czas padał w dziennikach grad zarzutów na Towarzystwo belgijskie; jednym nie podobał się kierunek linii, drugim wysokość opłaty, a wszystkim opóźnienie otwarcia jazdy. Gdy zaś p. Dubeltowicz w jednem z organów chciał uspokoić cierpliwość, dopisano mu do listu: „I tyle (?).“ Nareszcie Towarzystwo zrozumiało powody tej niecierpliwości oraz sposób ukojenia malkontantów i wczoraj we wtorek sute śniadanie. Jakoż tego samego dnia jeszcze najbardziej nieprzejednani oponenci w prasie zaczęli wołać: „Szczęść Boże!“ — „Boże dopomóż!“ — a nawet jeden w nagłym wylewie szczerości krzyknął: „Bóg zapłać!“ Nietylko znaleźli wszystko „w największym porządku,“ ale zalecili „panom interpelantom“ cierpliwość, której sami przedtem nie mieli. Pobudzony tą pobożną owacyą dla tramwayów p. Rejner, pomieścił w *Kuryerach* reklamę dla swego poświęconego przez kanonika Jakubowskiego zakładu, w której przypomina, że „działalność swą (patrz dzieje dawnego Tivoli) rozpoczął z Bogiem,“ a zapewniwszy, że „pragnie egzystować w jak najdłuższe czasy“ — „kończy staropolskiem słówkiem: Boże pobłogosław!“ Ach, do czego czasem służy Bóg, staropolskie słówka i... kanonik Jakubowski.

Do czego zaś służą *Nowosti*, bardzo dowodnie wykazał *Kuryer Warszawski*. Petersburska gazeta, zakupiwszy gdzieś przypadkiem z makulaturą artykuł o postępach germanizmu w Królestwie Polskiem, napisany przed kilkunastu laty, ilustruje w nas mówić, że niemcy u nas — to tylko strachy na Lachy, że nie oni nas, ale my ich wynaradawiamy. Radbym to widzieć; dopóki wszakże tylko jakiś Knödel lub Schnitzel, oderwany od ciała Germanii, smaży się w polskim sosie, rąk nie zacieram, bo jednocześnie Burakowscy i Marchwińscy setkami giną w niemieckim rosole. Słuszną też robi uwagę *Kuryer*: „Szkodliwą jest rzeczą usypiać naszą własną przezorność i troskliwość władzy, mającej bezpośredni interes w bronieniu krajowego przemysłu i handlu od powodzi niemieckiego *Drang nach Osten*.“ *Nowosti* karcą publicystów polskich za uleganie namiętnościom narodowym. Zdaje mi się, że każdy z nich nazwałby szczęśliwą tę chwilę, w którejby nie potrzebował stróżować około swego domu i odganiać zarówno rzeczywistych jak urojonych napastników. Czy gazeta petersburska sądzi, że to przyjemne zajęcie? Najzawziętsi z nas woleliby może odbyć pielgrzymkę do grobu... Bolesława Śmiałego, niż drzeć się z sąsiadami.

No, to już przesada: na tyle szacunku dla „śmiałego“ króla nas nie stać. Przecie to *Occisor Stanislai* — według Galla — *trahitoris!* Spoczywa on — jak wiadomo — w Ossiaku (w Karyntyi). Przebywający tam niedawno p. S. Buszczyński tak opisuje w gazetach grób królewski:

„Popioły Bolesława Śmiałego znajdują się w krypcie kościelnej pod murem, oddzielającym kościół od cmentarza. Wewnątrz wznosi się arkada nad przesklepionym grobem. Na zewnętrznej ścianie osadzona wielka tablica z napisem i rysunkiem w płaskorzeźbie, wyobrażającym konia bez jeźdźca, z siodłem i trzęzlą, sięgającą, sądząc po rysunku i ornamentach, co najmniej XIV-go, a może XIII-go, lub XII-go wieku. Pod tą tablicą położona poziomo na cmentarzu wielka płyta ciosowa, pokrywająca sklepienie grobu, otoczona porządną kratą żelazną, wzniesioną przed czterdziestu laty kosztem możnych obywateli galicyjskich.

Lecz kościół ten z powodu wielkiego ubóstwa mieszkańców małej, czterysta dusz liczącej parafii, chociaż mieści w sobie mnóstwo nieocenionej wartości pomników, obecnie zupełnie jest zaniedbanym. Ubogi, zacny proboszcz ksiądz Andrzej Krainc, zaledwie ma z czego żyć. Kościół pokryty pyłem i gruzami. Królewski grób w nader smutnym stanie. Dziury w murze nad grobem świecą w kilku miejscach. Przez kraty spływa woda na kamienną po ziomą płytę i przez szpary niewątpliwie ścieka do grobu. Otworzone zawsze dotąd drzwi kratowania dozwalały wszystkim przechodniom deptać grób i ryć swoje imiona na owej starożytnej płycie z koniem i napisem: „Rex Boleslaus Poloniae Occisor Stanislai epi... Cracoviensis“. Tablica ta z twardego, białego jak marmur, miejscowego kamienia wapiennego ma długości 1 metr i 85 cnt. a 1 metr 8 cnt. wysokości.

Pomiędzy imionami, znajdującemi się na płycie, widnieje kilkanaście napisów polskich... Przed kilku miesiącami zwiedzał także to miejsce potomek starożytnej rodziny w naszym kraju, — nie zostawił wszakże, jak zapewnia pan Krainc, ani grosza na poprawienie i oczyszczenie grobu. Taką samą obojętność okazali inni podróżni.“

Szczególna pretensya, ażeby „potomek starożytnej rodziny“ dał coś na grób polskiego króla! Nie dosyć, że go odwiedził, że może zostawił mu kartę wizytową!... Biedni ci „potomkowie“, wymagamy od nich najrozmaitszych ofiar, tak jak gdyby nie zapowiedzieli nam wyraźnie, że są „nieobecni“. Szanujmy ową „nieobecność“ tem bardziej, że ona nas z pewnością uchroni od rozłamania się po raz czwarty...

Naturalnie, szanujmy ich również, gdy wjednym ze wszystkimi rzędzie pospieszą na usługi społeczeństwa. W poprzednim numerze *Prawdy* wspomnieliśmy na tem miejscu o projekcie d-ra Markiewicza, który rozwinął myśl zakładania kolonij letnich dla ubogich dzieci. Otóż hr. Stanisławowa Potocka z Rymanowa (w Galicyi) objawiła gotowość przyjęcia do swego majątku na lato 100 dzieci. Jednemu z pism „zdaje się“, że biuro paszportowe i droga żelazna nie utrudnią przewozu wymaganiem zwykłej opłaty. Co do nas, nie wiemy, czy to żelazo będzie jeszcze dość gorące na rok przyszły i czy da się ukuć. Dziś, gdy projekt p. Markiewicza rozgrzewa wszystkich, mogłoby jego ciepło przeniknąć nawet do tak złych przewodników miłosierdzia, jakimi są: biuro pasztortowe i zarząd kolei. Ale za sześć miesięcy! Albożmy nie wiemy, co się u nas robi z najlepszemi chęciami po sześciu miesiącach? Gdyby one tak długo żyć mogły, z pewnością by p. Unger nie rozprzedawał pierwszego tomu jubileuszowego wydawnictwa dzieł Kraszewskiego w tysiącach egzemplarzy, a piątego w setkach, z pewnością Mickiewicz miałby już w Krakowie pomnik, a muzeum Sukiennic—obrazy. Jeden tylko wypadek mógłby złemu zaradzić: mianowicie gdyby miłosierna hrabina znalazła się bliżej nas, w Królestwie Polskiem. Na nieszczęście Bóg obsiał nasz kraj hrabinami gęsto, ale miłosiernemi rzadko.

Dla uwidocznienia sobie tego posiewu, niech arystokraci nasi kupią *Mapę hydrograficzną* dawnej Słowiańszczyzny, a raczej dawnej Polski p. Kopernickiego. Jest to ślepa karta, na której odznaczone są tylko wody, którą więc dowolnie może każdy wypełnić materyałem pożądanym: historyk szczegółami dziejów, lingwista — obwodami narzeczy, etnolog — siedzibami plemion a badacz krwi szlachetnej punkcikami książąt, hrabiów, baronów i tym podobnych zabytków archeologicznych. Ponieważ głównie mi idzie o to, ażeby z niej korzystała młodzież nasza, więc donoszę, że kosztuje tylko kop. 50.

W uniwersytecie warszawskim odbyły się wybory dziekanów; w trzech wydziałach potwierdzono dawnych, tylko na filologicznym miejsce p. Mierzyńskiego zajął p. Nikitskij, doktor historyi kościelnej Nowgorodu.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Epoka kolei żelaznych. — Odnogi kolei warszawsko-wiedeńskiej. — Koncesye hr. Zamojskiego. — Kierunek polityki na drodze iwangrodzko-dąbrowskiej. — Zażegnane starcie z chłopami. — Białe kruki. — Choroby zaraźliwe. — Pociecha w drożyźnie ziemi. — Kto „głupi?“ — Pospieszny pogrzeb w Opolu. — Szczególny sposób „oświetlania sobie przestrzeni.“ — Połów w Berdyczowie. — Skarga pism prowincyonalnych i prośba warszawskich.—Sakramentalne doniesienie.

Niewątpliwie nadeszła dla nas epoka kolei żelaznych. O ile dawniej słyszeliśmy tylko głębokie westchnienia, dobywające się z piersi Radomia, Kalisza lub Kielc, o tyle dziś nowe koncesye spadają rzęsiście jak manna.

Przedewszystkiem stara, zbogacona na monopolu i utuczona oszczędnościami na swych urzędnikach droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska zamierza zbudować trzy nowe linie boczne do kopalń węgla: Zagórze, Czeladź i Fanny. Najdłuższa, bo trzywiorstowa Zagórze wyjdzie z Dąbrowy; druga — z 1—937 wiorsty gałęzi prowadzącej z Sosnowca do kopalni węgla w Milejowicach; trzecia wreszcie — z bocznicy ułożonej dla wapielnika Sielce, na 13—3 wiorście gałęzi Ząbkowicko-Katowickiej. Będą to naturalnie drogi wyłącznie przemysłowe ze szczególnem uwzględnieniem szczupłego kółka interesów.

Jednocześnie hr. Tomasz Zamojski otrzymał koncesyę na dokonanie badań linii kolei żelaznej z Lublina przez Turobin do granicy galicyjskiej. Jak daleko do spełnienia zamiarów, nie wiemy; wiemy tylko, że nasi możnowładcy rodowi zaczęli gorliwie uprawiać niwę kolejową. Nie mamy nic przeciwko temu. Przecież to lepsze, niż kąpać baletnice w winie szampańskim, jak to czynił jeden ze ś. p. hrabiów, nad którego grobem pewien wymowny adwokat tyle... łez wylał.

Tymczasem rodząca się kolej Iwangrodzko-Dąbrowska wytknęła kierunek swej polityki. Do zbudowania jej potrzeba będzie użyć 11,000 ludzi, których — według doniesienia *Gazety Kieleckiej* — zarząd ma sprowadzić z Prus i Rosyi. „Specyaliści bowiem utrzymują, że ludność miejscowa tak jest leniwą, z robotami ziemnemi mało obeznaną a przytem bezsilną, iż wyłącznie na pomoc jej liczyć nie można.“ No, proszę, a czyjże to taki pomysł? Czy może oszczędnej kieszeni, która przedsiębiorcom budowlanym w Warszawie zaleciła uciekających z Cesarstwa i zadawalniających się małym zarobkiem żydów rosyjskich, którzy mają być, jako mularze, — „lepsi?“

Obawiam się, czy zarząd kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej nie wywnioskował, że na naszych chłopów liczyć nie można, z następującego faktu. Włościanie wsi Sadek (w Pińczowskiem), w skutek nieporozumień z dworem o służebności pastwiskowe i oporu niekorzystnym dla nich wyrokom,

nie dozwolili jeometrom dopełnić pomiaru. Gdy tłomaczenia przysłanej na grunt komisyi nie pomogły, przybył z jeometrą naczelnik, komisarz włościański, strażnicy, żandarmi i pułk ułanów. Sadkowscy włościanie widząc swą bezsilność, chwycili się dowcipnego sposobu: schowali się sami a na plac boju wysłali kobiety i dzieci, które rzuciły się z krzykiem i płaczem. I byłoby niezawodnie przyszło do jednego z tych sromotnych starć, których roczniki naszego życia zapisały już tyle, gdyby nie roztropność naczelnika powiatu, który nietylko słowami uspokoił hałaśliwą drużynę, ale nawet tak oddziałał na włościan, że ci sami pomogli do sypania kopców. Jaki z tego wniosek? Że z ludem trzeba umieć postępować, że rozumne i przyjacielskie słowo zawsze jego ciemnotę przebije i do głowy lub serca się dostanie.

Jeżeli wierzyć mamy doniesieniu *Tygodnia* piotrkowskiego, powiat Łaski również zyskał troskliwego o dobro ludu naczelnika, który znowu energicznie zajął się sprawą oświaty. Białe kruki więc zaczynają się wreszcie u nas pokazywać.

Naczelnicy tacy winniby rozciągnąć wobecnej chwili opiekę nad zdrowiem ludu. Jak donosi *Gaz. Lubelska*, szkarlatyna i błonica szerzą się nielitościwie. „Może ziemia stanieje, która doszła już do 3,000 rs. bez budynków za włókę“ — rzekł do mnie pewien włościanin, dobywając z tej niedoli pociechę. Istotnie, chłop nie odczuwa tak śmierci, jak my odczuwamy za niego. Nie znaczy to jednak, ażeby przed płonącym domem zdolny był tylko — jak twierdzi *Gaz. Polska* — stać obojętnie z zapalonym papierosem. Według niej, obojętność ta jest jedną z głównych przyczyn pożarów. Na udowodnienie „złej woli i głupoty“ przytacza fakt następujący. Niedawno w Sochaczewskiem wszczął się ogień. Przybyła z sąsiedniej wsi straż ochotnicza zażądała od rządcy pomocy w ludziach i kubłach. Rządca oświadczył, że kubłów nie da. a ludzi nie ma. Gromada gospodarzy stała wokoło i ani jeden nie drgnął. Nareszcie rządca znaglony o dostarczenie środków dla uchronienia zagrożonej stodoły, zastawił ją... obrazkiem świętym. Niech korespondent *Gazety Polskiej* dobrze się zastanowi: czy wypadek ten jest dowodem „głupoty“ naszych chłopów, czy takich rządców?

A to przeciw komu świadczy, czy także przeciw pierwszym?

W aptece opolskiej (jak donosi *Wiek*) młody prowizor w przystępie melancholii odebrał sobie życie. Przybył sędzia śledczy i polecił wójtowi gminy ciało pochować. Polecenie to ze szczególnym pośpiechem spełnił właściciel apteki, kazał ciało włożyć w trumnę i wynieść na pole, przyległe do cmentarza. Najęci włościanie złożyli trupa na ziemi a trumnę przerzucili przez parkan. Odbyło się to wszystko bez sekcyi i bez kłopotu. Widziałem raz w Warszawie otwieranie nagle zmarłego stróża: gdy felczer krajał go w szopie, to przynajmniej lekarz i podsędek przyglądali się przez okno z mieszkania gospodarza... Tu i tego nie było.

Wszystkie pisma jednobrzmiąco opowiedziały wypadek w dobrach Kluki, gdzie jakiś młody człowiek, polując w nocy na wydrę i spostrzegłszy dwa cienie ludzkie, w których domyślił się złodziei ryb „dla chwilowego oświetlenia sobie przestrzeni“ strzelił i zabił dwu ludzi. Wierząc nawet, że nie pragnął takiego skutku, musimy się dziwić temu sposobowi „oświetlania sobie przestrzeni.“ Miałażby to być tylko niezręczność stylizacyi reporterskiej?

Daleko lepiej powiódł się władzom celnym połów ryb w Berdyczowie. Ta stolica rosyjskiego Izraela, w której jak wieść niesie, można dostać wszystkiego: od fałszywych pieniędzy i paszportów, aż do indygenatów, oddawna zwracała na siebie uwagę straży pogranicznej. Nareszcie przed kilku tygodniami zapuszczono sieci i wydobyto na dziesiątki tysięcy rs. ukrytej kontrabandy. Stąd też bankructwo w przemytnictwie wielkie.

Bez pełnomocnictwa wnosimy skargę w imieniu pism prowincyonalnych na prasę warszawską, która przedrukowywując ich doniesienia (najtańsze artykuły) bez zmiany, obrzydza im własny pokarm. Tak np. ręczę, że *Gazeta Lubelska* dostała mdłości, przeczytawszy kilkanaście razy powtórzone: „Na folwarku Dęblin pod fortecą znajduje się tak zwana „Kępa.“ Na litość, nie umierające pisma prowincyonalne, bo z czego my żyć będziemy, skąd my się dowiemy, że „na folwarku Dęblin znajduje się „Kępa!“

Chciałem już zakończyć dzisiejszą kronikę, gdy przypomniałem sobie obowiązek sakramentalnego w bieżącym roku doniesienia, że znowu uszczęśliwiło nasz kraj kilka tęgich pożarów.

Asan.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 21 października.

Drażniącym kąskiem dla prasy europejskiej jest dotąd wieść o wzmiankowanej bytności Gambetty u Bismarka w Warzinie. Wieść tę wielkiem prawdopobieństwem podszył paryski korespondent *Timesa*, który z jednej wizyty u kanclerza niemieckiego wysączył już i wlał do swego dziennika całe morze tajemnic, a który pod tąż samą datą opowiedział światu fakt następujący. Podczas owych nieśmiertelnych odwiedzin, Bismark zapaliwszy po obiedzie fajkę, bąknął, że chciałby poznać Gambettę. Każde słowo takich ludzi ważyć trzeba, więc korespondent przyjął to życzenie pod swoim adresem i zaczął z obecnym tej rozmowie bar. Holsteinem układać plan spotkania dwu bohaterów polityki. Obawiając się jednak odpowiedzialności ryzykownego kroku, poprzestał na delikatnem uwiadomieniu Gambetty i pośrednictwo swe przerwał. Teraz gdy się rozbiegła wieść o pielgrzymce proroka francuskiego do niemieckiej Mekki, korespondent wspomnieniami swemi stwierdził jej możliwość a nawet pewność. Ponieważ dotąd Bismark i Gambetta zachowują intrygujące wszystkich milczenie, więc nie pozostaje gazetom nic innego, jak stukając w palce, zgadywać: był, czy nie był?

Według nas, jeżeli Gambetta szanuje siebie i swoją rolę polityczną — nie był. Usprawiedliwienie bowiem jego podróży racyą, że przed objęciem steru ministeryalnego chciał uspokoić potężnego sąsiada o swych pokojowych zamiarach, jest niegodnem przewodnika wielkiego narodu i wielkiego państwa. Byłby to krok właściwy dla jakiegoś książątka niemieckiego, ale nigdy dla Gambetty. Każdy obywatel Francyi miałby prawo mu po powrocie z Warcina rzucić w oczy najwyższą wzgardę a kraj odebrać to zaufanie, jakim go dotąd obdarzał. Piękny byłby to zaiste hetman kilkudziesięciomilionowego narodu, któryby jeździł do swego wroga pytać, czy ten pozwoli mu zostać ministrem. Tegożby jeszcze do upokorzenia Francyi brakowało, ażeby Bismark tworzył jej gabinet. Nie, jest to przypuszczenie tak potworne, że o jego prawdopodobieństwie nawet myśleć niepodobna.

Nie ulega już dziś wątpliwości, że Grevy powierzy Gambecie utworzenie ministeryum. Jaką on sobie tekę wybierze, komu inne odda, dotąd niewiadomo. Obiegają po dziennikach francuskich rozmaite listy nowego gabinetu, są to jednakże tylko hypotezy, rzucane dla zaspokojenia zgłodzonej ciekawości. Zresztą główną wagę posiada tu prezes, o jego towarzyszów mniejsza.

W Anglii sprawa irlandzka zagotowała się gwałtownie. Parnell wraz z towarzyszami został uwięziony, energiczne kroki przeciw lidze rozpoczęte. Rokosz jednak nie słabnie, a nawet siłą odporu wzmaga się coraz bardziej. Nowe meetingi, krwawe starcia, groźby przesyłane Gladstonowi nie ustają. Łudzić się trudno, że ruch ten zostanie stłumiony. Za dużo zebrało się materyałów palnych, za dużo podłożono pod nie ognia, za wiele wreszcie ma on swobody, ażeby go surowością zgasić można. Nie zapominajmy, że rokoszanie, bądź co bądź, nie stracą odrazu rozległych praw wolnej Anglii...

Z odmiennem, ale równem natężeniem Francya i Niemcy czekają zebrania się Izb: pierwszą drażni zagadka ministeryalna, drugie — niepewność ustosunkowania się żywiołów w sejmie. Dzienikarska artylerya Bismarka wystrzeliwa ostatnie naboje dla pokonania swych przeciwników. Przed kilkoma dniami rzuciła w ich szeregi niszczącą bombę. Były minister skarbu, należący do sztabu narodowo-liberałów, upoważnił jedną z gazet swego pułku do zaprzeczenia twierdzeniu *Nordd. Allg. Zeitung*, jakoby na swym urzędzie popierał monopol tytuniowy. Jakim sposobem ten człowiek, znający kulisy służby funduszu gadzinowego, mógł zapomnieć, że p. Pindter ma wolny wstęp do archiwum państwa i urzędowym protokółem usta mu zatka — rzec trudno. Stało się, co się stać musiało: p. Pindter tekstem protokółu dowiódł Hobrechtowi, że ten radził — jak się wyraża jedna z gazet niemieckich — obciąć psu ogon, tylko dla zmniejszenia bólu — po kawałku, t. j. oświadczył się wyraźnie za powolnem wprowadzeniem monopolu tytuniowego. Jest to wypadek w przeddzień wyborów dla narodowego liberalizmu bardzo nieprzyjemny i może go kosztować bardzo drogo.

O PRAWDZIE.

W otrzymanym N-rze 40-ym *Prawdy* znajduję artykuł: „Trzeci kongres geograficzny“ (w Wenecyi), a w nim następujący ustęp: „Między innemi, kongres wyraził życzenie, ażeby towarzystwa naukowe zajęły się wydaniem słowników geograficznych. Żałujemy mocno, że nikt się nie znalazł, ktoby uwiadomił kongres, że nie żadne towarzystwo naukowe, ale jeden człowiek w Polsce podjął się i uskutecznia, o ile jednostkowemi siłami można szczęśliwie, olbrzymie wydawnictwo słownika geograficznego. P. Sulimierskiemu należała się ta skromna nagroda za trud, który go zdobił trwałą zasługą“.

Otóż zachodzi tu małe nieporozumienie. Gdyby autor artykułu w *Prawdzie* zechciał dokładnie zrozumieć to, co napisałem w N-rze 264-ym *Nowin*, zobaczyłby, że grupa 7-ma kongresu geograficznego rozprawiała o zupełnie innego rodzaju „słownikach“, aniżeli słownik p. Sulimierskiego. Jej chodziło po prostu o wykaz dokładny wszystkich główniejszych miejscowości z pokazaniem ich wymawiania i przekładem na inne języki, oraz (jeżeli potrzeba) na alfabet łaciński, a to w celu ujednostajnienia nomenklatury geograficznej. Jest-to więc cel czysto praktyczny, z jednej strony daleko rozleglejszy, z drugiej zaś nierównie skromniejszy, w każdym zaś razie całkiem inny, aniżeli cel słownika Sulimierskiego. Prędzej już do słowników, proponowanych przez grupą 7-mą kongresu, zbliżają się proste wykazy miejscowości, w rodzaju *Skorowidza* p. Zinsberga (?) lub też w r. 1828 (jeśli się nie mylę) wydanej Tabeli miejscowości Królestwa Polskiego. Ale i tego rodzaju wykazy przed-

stawiają właściwie co innego. Tak jedna jak i druga kategorya wydawnictw, t. j. zarówno proste wykazy i skorowidze, jako też słowniki w rodzaju słownika p. Sulimierskiego mogą tylko służyć za materyał do ułożenia słowników, proponowanych przez grupę 7-mą, ale nigdy ich nie zastąpią. Słownik Sulimierskiego jest właściwą encyklopedyą geograficzną. Podobne dzieła, bądź-to częściowe, prowincyonalne, bądź też obejmujące całe nawet państwa, posiadają także inne narody, i także z inicyatywy prywatnej. O istnieniu podobnych wydawnictw grupa 7-ma kongresu doskonale wiedziała. Dzieło więc, wydawane przez p. Sulimierskiego, nie byłoby szczególną nowością. Pomimo to nie traci ono wcale na wartości, nie przestaje być przedsięwzięwzięciem znakomitem i zasługującem na uznanie. Jak wyrażono to uznanie w Wenecyi, najlepiej dowodzi to, że słownik p. Sulimierskiego, przysłany na wystawę i pomieszczony naturalnie w grupie rosyjskiej, nie dostał żadnej nagrody, nawet wzmianki zaszczytnej, pomimo że niektóre prace mniejszej wagi i wartości dostały nawet wyższe nagrody. Nie zaszkodzi tu zrobić uwagę, że w składzie przysięgłych nie było *faktycznie* ani jednego polaka, chociaż na liście przysięgłych raczono pomieścić jednego z nich bez jego wiedzy, i to naturalnie nie jako przedstawiciela polaków.

Pod ubolewaniem autora artykułu w *Prawdzie* ukrywa się właściwie wyrzut obecnym na kongresie polakom, że żaden z nich nie zwrócił uwagi na wydawnictwo p. Sulimierskiego. Dotychczas nie ogłoszono listy członków kongresu; nie mogę więc wiedzieć, kto z polaków brał w nim udział. Wiem tylko o jednym polaku, o p. Buszczyńskim, który nawet przemawiał w grupie 4-ej. Na posiedzeniu zaś grupy 7-ej, które między innemi zajmowało się kwestyą „słowników geograficznych," z polaków, jeżeli się nie mylę, byłem przytomny tylko ja jeden. Otóż wyrzut p. J., autora artykułu w *Prawdzie*, mnie bezpośrednio dotyczy. Uważam więc za właściwe powiedzieć kilka słów na swoje usprawiedliwienie. Otóż, gdyby nawet *Słownik geograficzny* p. Sulimierskiego był z rodzaju tych, jakich wydanie było uznane wtedy przez grupę 7-ą za rzecz nader pożądaną dla zupełnie korzystnego uczenia się geografii, to jeszcze, ażeby mieć możność przemawiania na posiedzeniu, należało być członkiem danej grupy. Zapisawszy się do grupy 4-ej i następnie do 5-ej, nie byłem wcale członkiem grupy 7-ej, a na jej posiedzenie przybyłem tylko jako ciekawy. O czem będzie dyskusya, dokładnie nie wiedziałem; nie byłem więc prócz tego wcale przygotowany do brania w niej udziału. Nakoniec proszę przyjąć do wiadomości, że nawet członkom danej grupy niechętnie pozwalano mówić, jeżeli się wprzód nie zapisali, a to w celu nieprzewlekania rozpraw o jednym i tym samym przedmiocie. To wszystko uważałem za stosowne oświadczyć na wypadek, gdyby *Słownik* p. Sulimierskiego mógł być uważany za jeden z tych, o jakich mówiono w grupie 7-ej.

Jeszcze jedna uwaga. Zdaniem mojem, autor artykułu w *Prawdzie* za nadto przecenia „głośność" kongresów, twierdząc, że ona to właśnie znajomi ogół ze zdobyczami naukowemi. Otóż w tym widzę za nadto różowego optymizmu. Ogół, co prawda, słyszy wrzawę jarmarku uczonego i widzi jego dekoracye; nie będąc jednak wtajemniczony w jego stronę zakulisową i nie rozumiejąc odegrywanej przed nim komedyi, chyba nie jest w stanie zdać sobie dokładnej sprawy z tego, o co tu właściwie chodzi, zwłaszcza że prawda naukowa ginie we mgle kadzideł, roztaczanych sobie wzajemnie przez komplementujące się matadory zgromadzenia, oraz w grzmocie oklasków, sypanych nazbyt szczodrze i bez zastanowienia się, pod wpływem wrażeń zmysłowych i różnych uczuć, częstokroć bardzo dalekich od nauki. Jaką zaś bywa poważna „głośność" kongresów, najlepiej objaśnia przyjęcie doznane przez wotum Buszczyńskiego, a opisane w *Nowinach* w nr. 268. Sprawę tę polecam uwadze wszystkich osób. zachwycających się głośnością kongresów wogóle, a tylko co odbytego gongresu geograficznego w szczególności.

Wenecya, 13 października 1881 r.

J. B. de C.

Na ostatnią uwagę autora zgodzić się nie możemy. Nawet przyznawszy w tego rodzaju uroczystościach wielki procent komedyi i przeniewierzenia się zasadzie swobody słowa, znaczna część zagadnień naukowych przenika do wiadomości ogółu za pośrednictwem kongresów. Dowód bliski: p. J. B. d. C. napisał w *Nowinach* długi szereg korespondencyi o przedmiotach geograficznych, o którychby bez kongresu w Wenecyi nie mówił, a czytelnicy go nie słuchali *(Red.)*.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Przez Tobolsk przeprowadzono nową partyę zesłańców w liczbie 18,000 osób. Z raportu gubernatora tobolskiego okazuje się, że obecnie wszystkie okręgi tej guberni są przeludnione i że tam niema wcale miejsca dla nowych osadników tej kategoryi. W sąsiedniej gubernii tomskiej okazał się również brak miejsc.

— Zmarły niedawno kupiec i obywatel Warszawy Juliusz Herman poczynił następujące zapisy: 1) Towarzystwu wsparcia podupadłych artystów muzycznych rs. 1,000; 2) Urzędowi starszych zgromadzenia kupców w Warszawie dla podziału pomiędzy zubożałych kupców rs. 1,000; 3) Towarzystwu dobroczynności warsz. rs. 2,000; 4) studentom niezamożnym na wpisy do gimnazyów w Warszawie rs. 1,500; 5) szpitalowi warsz. dla dzieci rs. 1,000; 6) gminie ewangelickiej rs. 1,000; 7) gminie izraelskiej dla ubogich rs. 1,000; 8) ochronce dzieci nr. 8 rs. 300.

— W Towarzystwie zdrowia publicznego w Petersburgu, dr. Malaszewski miał ciekawy odczyt o maloletnich przestępcach i metodach ich wychowania.

— W m. gub. Orle ukazała się silna błonica (*diphteritis*) w połączeniu ze szkarlatyną; procent śmiertelności dosięga do 77. Lekarze pozbawieni są środków do walczenia ze straszną epidemią.

— Ustawa Towarzystwa opieki nad dziećmi oddaną została pod rozpatrzenie ministerstwa spraw wewnętrznych.

— Ustawa kasy emerytalnej dróg żelaznych znajduje się obecnie w rozpatrzeniu Rady Państwa.

— Kasa pożyczkowa dla rzemieślników cyrkułu IX w Warszawie otwartą została przy ulicz Kruczej nr. 6, w domu p. Neumanna.

— Konsulat angielski w Warszawie zbiera dla ministeryum swego dane statystyczne co do rolnictwa, przemysłu i handlu w Królestwie Polskiem.

Nauki. W guberni riazańskiej, w powiecie zarajskim znaleziona została przez włościan dobrze zachowana kość mamuta.

— Profesor Virchow po ukończeniu kongresu archeologicznego w Tyflisie udał się do Abchazyi, gdzie zajmie się badaniami antropologicznemi.

— P. Jegorow profesor uniwersytetu warszawskiego wybrany został na sekretarza trzeciej sekcyi wystawy elektrycznej międzynarodowej w Paryżu.

— Inżenier Rutkowski wydelegowany przez petersburskie ministerstwo komunikacyj dla zbadania dróg żelaznych w różnych państwach europejskich, po powrocie do Petersburga wydał treściwie opracowaną broszurę o prawodawstwie kolejowem angielskiem, która posłuży jako materyał przy układaniu specyalnego prawa kolejowego w Rosyi. P. Rutkowski wkrótce ma objąć posadę docenta w instytucie komunikacyi.

Uniwersytety. W uniwersytecie lwowskim na trzech wydziałach uczęszczało w półroczu zimowem 1,066 słuchaczów, a w letniem 994. Nauki udzielało profesorów 33, docentów 13, suplentów 2, nauczycieli 6, adjunktów 2. Wydział teologiczny uzyskał znakomitą siłę przez powołanie na katedrę dogmatyki ks. dr. Jana Mazurkiewicza; wydział prawny pomnożył się o 2. a filozoficzny o 5 docentów. Z biblioteki uniwersyteckiej wypożyczono okrągło dzieł 6,000, a w czytelni przeszło przez ręce czytających 32,000. Zaszczytnem dla uniwersytetu było powołanie docenta i wychowańca wydziału filozoficznego dr. Aleksandra Brückner'a na katedrę języków słowiańskich w pierwszorzędnym uniwersytecie w Berlinie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani Mańk. w Dorohowicach. Prawda z kwart. I wyczerpana, posłaliśmy od II, resztę zaś pieniędzy zapisaliśmy na rok następny.

P. H. Wróblewskiemu. Nie wraz z przesyłką rs. 4 k. 50, ale bez przesyłki, i dla tego księgarnia żąda 75 kop. *Pamiętnik fizyograficzny* kosztuje rs. 7 kop. 50.

P. I. Brod. w Pierewierzewce. Zadośćuczynimy żądaniom pańskim — prosimy wszakże o cierpliwość.

P. Iwan. w Nowosielicy. Kosztują rs. 5. Możemy pośredniczyć; najlepiej wszakże zwrócić się bezpośrednio do nakładcy — księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Dr. Jesipowiczowi w Zasławlu. Odpowiemy listownie. *Prawdę* wysyłamy.

Na pomnik Mickiewicza.

I. Szaniawski z Mokrej Koligorki rs. 4. Urzędnicy rafineryi żytyńskiej na Wołyniu rs. 16 kop. 25.

(Przesłane do wspólnego funduszu w *Tygodniku Ilustr.*).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Октября. 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.